

Nr 4 (125) – B Rok 21

Lipiec-Sierpień 2015



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia *Воання з Волині*

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воання з Волині*

Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

Redaktor naczelny: ks. Witold-Yosif Kovaliv.

Redakcja: Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka,

ks. Grzegorz Draus, ks. Józef Kozłowski, Ludmiła Poliszczuk,

ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:

✉ вул. Кардашевича, 1

35800 м. Острів, Рівненська обл.

Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38

E-mail: vykovaliv@gmail.com

Świadectwo rejestracji: RW nr 187

z 15 maja 1997 r.

ISSN 1429-4109

Adres oddziału redakcji w Polsce:

✉ Ośrodek "Wołanie z Wołynia",

skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin

<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

Dobroczyńców prosimy o wpłaty na konto:

Stowarzyszenie Ośrodek

"Wołanie z Wołynia"

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC

nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

~ ~ ~ ~

"Wołyński Słownik Biograficzny":

<http://wolynskisloownikbiograficzny.blox.pl/>

„Dziennik pisany nad Horyniem”

<http://ostrog.blox.pl/>

Jesteśmy w Facebook’u:

<https://www.facebook.com/Wolanie/>

SPIS TREŚCI

- s. 3-5: Kazimierz SZALAŁATA, *III Rajd Wołyński*
s. 6: Ks. Grzegorz DRAUS, *Śluby wieczyste trzech siostr Bożej Opatrzności. Wszystkie siostry pochodzą z Ukrainy*
s. 7: Maria BOŹKO, *95. rocznica bitwy pod Chorupaniem na Wołyniu*
s. 8: rp, *Zmarł ks. prof. Marek Zahajkiewicz*
s. 9-10: Kazimierz SZALAŁATA, *Śludzy życia. Polsko-ukraińskie jubileuszowe seminarium UO UKSW w Krakowie*
s. 11-13: Eugeniusz ZEGRZDA, *Poeta z Ostroga*
s. 14-16: Danuta SIWIEC, *Moja wołyńska Arkadia*
s. 17-20: Paweł MIELCZAREK, *Misja niemożliwa Józewskiego*
s. 21-28: Kamil PRZYBOROWSKI, *Henryk Józewski – twórca „eksperymentu wołyńskiego”*
s. 29-30: Józef Ignacy KRASZEWSKI, *Ku Ostrogowi*
s. 31-34: Bogusław MANSFELD, *Mieszaniny wołyńskie*
s. 35-40: Edward WINKLER, *Wereszczyński o odbudowie Kijowa*
s. 41-44: Ks. Edward WALEWANDER, *Atlantyda. Nie tylko kresowa*
s. 45: Krzysztof KOŁTUN, *Kozły – poleska rozśpiewana wieś*
s. 45-48: Krzysztof Rafał PROKOP, *Bolesław Hieronim Kłopotowski 1899-1901*

Dostajemy często zapytania „**Gdzie można nabyć «Wołanie z Wołynia» i Wasze książki?**”

Aby otrzymać tradycyjną („papierową”) wersję naszego czasopisma należy zwrócić się listownie na adres:

ks. Witold-Yosif Kovaliv
Ośrodek „Wołanie z Wołynia”

skr. poczt. 9, 34-520 Poronin, Polska

lub

o. Вітольд-Йосиф Ковалів
вул. Кардашевича, 1

35800 м. Остріп, Рівненська обл., Україна
vykovaliv@gmail.com

Poprzednie numery z tego roku oraz roczniki 2010-2013 „Wołania z Wołynia” w wersji elektronicznej są dostępne pod adresem:
http://www.duszki.pl/wolanie_z_wolynia/

Nasze czasopismo i książki z serii „Biblioteka «Wołania z Wołynia»” można nabyć także w:

Antykwariat Kresowy
Krzysztof Kołtun
ul. Lwowska 13 J, 22-100 Chelm,
Polska

tel. +48 82 564 72 99

e-mail: antykwariat-kresowy@o2.pl



Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo
Spraw Zagranicznych

Projekt jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2015 r.” za pośrednictwem Fundacji „Wolność i Demokracja”

Ї нас на Волині - У нас на Волині

III RAJD WOŁYŃSKI

W dniach 11-15 lipca 1015 r. odbył się zorganizowany pod honorowym patronatem Konsula Generalnego w Łucku pani Beaty Brzywczy oraz Rektora Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie ks. dra. hab. Stanisława Dziekońskiego III Rajd Wołyński śladami zbiorowej zbrodni dokonanej na Polakach w 1943 roku. Podczas uroczystości Rektora reprezentował kierownik Uniwersytetu Otwartego UKSW dr Kazimierz Szalata, który w ramach Rajdu zorganizował i poprowadził debatę na temat pojednania z udziałem gości z Polski, Ukrainy oraz ks. prof. Daniela Fouchera z Nantes we Francji.

Rajd, w którym wzięło udział blisko dwadzieścia motocykli z Bydgoszczy, Lublina, Puław i Zielonki oraz towarzyszące im samochody organizatorów i obsługi wystartował w sobotę 11 lipca sprzed Zamku w Lublinie. Po uroczystym przejeździe przez renesansowy rynek w Zamościu kolumnę Rajdu przywitał na przejściu granicznym Zosin-Ustilug konsul RP Krzysztof Sawicki. Pierwszym celem tej swoistej pielgrzymki po miejscach uświęconych krwią męczenników katolickich była nieistniejąca już dziś wioska Swojczów, gdzie przy krzyżu upamiętniającym tragedię sprzed 72 lat została odprawiona żałobna msza święta polowa, której przewodniczył biskup diecezji łuckiej ks. bp Vitalii Skomarovskyi. Homilię wygłosił założyciel i dyrektor Domu Integracji Caritas w Zamłynie ks. Jan Buras. Jak powiedział kaznodzieja zwracając się do pielgrzymów z Polski oraz uczestników Rajdu, przychodzimy po latach wraz z cudownym obrazem Matki Boskiej Swojczowskiej z kościoła, po któ-



Swojczów, 11 lipca 2015 roku

Fot. Archiwum

rym nie ma już dziś śladu, na miejsce bratobójczej zbrodni, która pochłonęła blisko 60 tys ludzkich istnień nie po to, by szukać zemsty, by kogokolwiek oskarżać, ale by modlić się za ofiary oraz budować pojednanie, które jest warunkiem trwałego, tak bardzo dziś potrzebnego pokoju na Ukrainie. Ks. Buras podziękował towarzystwom kresowym z Zamościa, które w latach dziewięćdziesiątych postawiły krzyż w miejscu, gdzie prawdopodobnie znajdował się kościół i gdzie prawdopodobnie spoczywają szczątki pomordowanych Polaków. Ten krzyż przypomina nam dzisiaj, że tutaj mieszkali ludzie

wschodniego i zachodniego obrządku, ludzie, którzy szanowali się i żyli w przyjaźni, aż do tamtych tragicznych dni. Na zakończenie mszy świętej wraz z dziekanem grekokatolickiej cerkwi z Włodzimierza Wołyńskiego odmówiono ekumeniczną modlitwę za zmarłych.

Centralnym punktem obchodów 72 rocznicy rzezi wołyńskiej była niedziela msza św. z udziałem przedstawicieli Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej w Łucku z konsulem generalnym panią Beata Brzywczy na czele, odprawiona w katedrze świętych Apostołów Piotra i Pawła w Łucku. Uroczystej liturgii z udziałem licznie zebranych księży diecezji łuckiej wraz z jej gospodarzem ks. bpem Vitalijem Skomarovskim oraz grekokatolickim protoprezbiterem wikariatu wołyńskiego ks. Romanem Begejem przewodniczył Metropolita Przemyski ks. abp Józef Michalik. Ksiądz Arcybiskup wygłosił też kazanie, w którym powiedział, że wielkość każdego społeczeństwa, czy rodziny nie polega tylko na sukcesach, ale na umiejętności trwania w prawdzie. Dziś przychodzimy na tę ziemię wołyńską, która stała się święta przez krew męczenników. Przychodzimy upamiętnić wielkie tragiczne wydarzenie, które dotknęło żyjących tu ludzi. Przychodzimy, bo wiemy, jak ważne i bolesne były to fakty. Ale były one także ważne dla Europy i świata. Dziś nie trzeba się bać prawdy, bo tylko prawda wyzwala, tylko prawda uszlachetnia i wszelkie próby zakłamania, pomniejszania czy wykreślenia z historii wydarzeń są błędem. W kontekście obchodzonej rocznicy ks. Arcybiskup przypomniał historyczny akt z czasów Soboru Watykańskiego II, kiedy biskupi Polscy zwrócili się do biskupów niemieckich ze swoim orędziem, które można streścić w zdaniu: „*Przepraszamy i prosimy o przebaczenie*”. I mimo wielu ataków ze stro-

ny komunistycznych władz, ten dojrzały, głęboko chrześcijański akt wprowił w zdumienie cały świat. Nie chodzi bowiem o to, kto ma rację, bo to zawsze Bóg ma rację, Bóg, który wzywa nas do przebaczenia i pojednania. Trzeba nam spojrzeć na upamiętniane tragiczne wydarzenia z 1943 roku oczami wiary. Trzeba się modlić za ofiary bratobójczego wybuchu nienawiści po obydwu stronach, nie zapominając o Ukraińcach, którzy także ratowali Polaków. Trzeba być trwali w naszych rodzinach w modlitwie powtarzając: „*i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom*”.

Po mszy św. uczestnicy Rajdu Wołyńskiego udali się na Plac Teatralny, przed Sobór Świętej Trójcy pod tablicę upamiętniającą ofiary Kijowskiego Majdanu oraz trwającej od ponad roku wojny na Ukrainę, gdzie zostały złożone wieńce. Następnie kolumna motocykli wraz z konsulem generalnym Rzeczypospolitej Polskiej udała się na cmentarz obrońców Przebraża w okolicach wsi Hajowe.

Historię tworzenia się na tych terenach spontanicznego ruchu obrony przed bandami UPA przedstawił badacz dziejów kresowych Krzysztof Krzywiński z Chelma. Ks. prof. Daniel Foucher poprowadził tłumaczoną na język polski i ukraiński modlitwę za zmarłych oraz żywych świadków tamtych tragicznych wydarzeń. Głos zabrał także Mykoła Dawydiuk, deputowany ziemi wołyńskiej z partii Swoboda. W krótkich słowach wyraził uznanie dla Polaków, którzy tak pięknie potrafią czcić pamięć o swoich poległych bohaterach. Przypomniał też, że Ukraina ma także prawo pamiętać o grobach własnych przodków.

Tego samego dnia, w sali konferencyjnej hotelu UKRAINA w Łucku, gdzie od listopada ubiegłego roku odbywały się kolejne sesje Szkoły Katedralnej Uniwer-

sytetu Otwartego UKSW uroczystą historyczną debatę poprowadził dr Kazimierz Szalata. Na wstępie tego niecodziennego spotkania, dr Szalata przekazał na ręce ks. bpa Vitalija Skomarovskiego wykonaną w Muzeum Narodowym w Warszawie (tam znajduje się oryginał) kopię obrazu „*Bitwa pod Orszą*” podkreślając, że było to drugie, po bitwie pod Grunwaldem, wielkie zwycięstwo sprzymierzonych wojsk polsko-litewskich. Dr Szalata przypomniał, że Wielkie Księstwo Litewskie obejmowało wówczas dzisiejsze tereny Liwy, Białorusi i Ukrainy. Tym razem połączona trzydziestopięciotysięczna armia pod wodzą księcia litewskiego Ostrońskiego pokonała w 1514 roku ponad osiemdziesiąt tysięcy armię moskiewską. Kopia obrazu dokumentująca naszą wspólną historię znajdzie swoje miejsce w kościele w Ostrogu, gdzie przy parafii działa założony przez ks. Witolda Yosifa Kovaliva ośrodek duszpastersko-wydawniczy „Wołanie z Wołynia”.

Debatę rozpoczęła prezentacja na temat rzezi wołyńskiej przygotowana przez prezesa Stowarzyszenia Lekarzy Polskiego Pochodzenia na Wołyniu dra Sergiusza Prokopiuka.

Wykład wprowadzający do debaty przedstawił ks. prof. Daniel Foucher z Francji. Przypomniał on biblijną analizę źródła grzechu, jako odrzucenia Boga a następnie historię dorastania człowieka doświadczającego zła od prawa rewanzu i pomsty w myśl reguły „oko za oko, ząb za ząb” aż po lekcję krzyża i zmartwychwstania Chrystusa Pana. Odwracając się od Boga, który jest naszym wspólnym Ojcem, tracimy sens braterstwa między ludźmi. Próbuąc zastąpić Boga, w każdym drugim człowieku widzimy konkurenta, którego trzeba zniszczyć – jak mawiał Sartre. To stąd rodzi się pokusa ludobójstwa. Tylko jeden wódz, tylko jeden na-

ród. Stąd nie ma przebaczenia, nie ma pojednania bez powrotu do naszego wspólnego Ojca w Niebie, który kocha każdego syna – także marnotrawnego. Zatem jedyna droga do pojednania prowadzić musi przez nawrócenie i przebaczenie.

W dyskusji zabrali głos między innymi prezes Stowarzyszenia „Wołyń pamiętamy” Henryk Kozak z Puław, prezes Europejskiej Fundacji Samorządowej Andrzej Strawa ze Świdnika oraz prezes Bractwa Motocyklowego Dragonia z Bydgoszczy Przemysław Piotrowski.

Na zakończenie ukraińska dziennikarka Tatiana Mogilecka przekazała uczestnikom debaty wzruszający rysunek swojej córeczki z wizją wschodzącego słońca pojednania polsko-ukraińskiego. Jak powiedziała w swoim krótkim wystąpieniu, nigdy wcześniej, ani w szkole, ani w rodzinie nie słyszała o strasznych wydarzeniach z 1943 roku. Teraz, kiedy poznała historię przeprosiła w imieniu swych przodków za wyrządzone Polakom krzywdy, poprosiła o przebaczenie i z ogromnym wzruszeniem poprosiła, byśmy byli na nowo przyjaciółmi.

Podczas kolejnych dni uczestnicy Rajdu Wołyńskiego odwiedzili też inne ważne dla Polaków z Kresów Wschodnich miejsca związane z tragicznymi wydarzeniami z 1943 roku. III Rajd Wołyński odwiedził między innymi: Równe, Zdołbunów, Ostroń, Międzyrzecz, Dubno, Ołykę, Derażne, Janową Dolinę, Zasmyki i Zamłynie.

Kazimierz Szalata

Od redakcji „WzW”:

Parafia rzymskokatolicka w Ostrogu serdecznie dziękuje p. Bogusławowi Mansfeldowi za ufundowanie kopii obrazu Wiktorii Orszańskiej.



З життя Коścioła - З життя Церкви

ŚLUBY WIECZYSTE TRZECH SIÓSTR BOŻEJ OPATRZNOŚCI. WSZYSTKIE SIOSTRY POCHODZĄ Z UKRAINY

Zgromadzenie Sióstr Bożej Opatrzności powstało w XIX we Lwowie. Po wojnie siostry musiały opuścić liczne placówki na Kresach. Na Ukrainę powróciły w 1993 roku. Siostry pracują w dwóch domach: w Równem i Sławucie (w latach 1992-2000 także w Ostrogu). Do sióstr, które pochodzą z Ukrainy dołączyły dziś kolejne trzy, składając 31 lipca 2015 r. w Domu Generalnym w Grodzisku Mazowieckim śluby wieczyste. Wszystkie trzy są owocem posługi sióstr. Pochodząca z niepraktykującej, choć prawosławnej rodziny z wioski koło Białohirii Vita Kowalczyk (dziś w zakonie siostra Erika) studiowała w Instytucie Słowiańszczyzny w Równem. Przyszła do otwartego kościoła, zainteresowała ją katolicka liturgia. Uczestniczyła w indywidualnej katechizacji przygotowującej do przyjęcia sakramentów prowadzonej przez siostrę Julię. Po kilku latach wstąpiła do zgromadzenia. Siostra Mateusza dojeżdżała z Równego do kaplicy (wówczas jeszcze w bloku) do odległego o 40 km Kostopola, katechizując i animując liturgię. Jedną z parafianek, z polsko-ukraińskiej rodziny Alina Benkowska poznała siostry na katechizacji. Podobną historię ma siostra Jakuba (Hanna Sidlecka) ze Sławuty (diecezja Kamieniec-Podolska). Siostry pracują tam w trudnych warunkach, przy prowdzonym przez polską robotników którzy budo-



Śluby wieczyste w Grodzisku Mazowieckim, 31 lipca 2015 roku

Fot. Jolanta Wierzbicka

wali elektrownię atomową w ostatnich latach ZSRR. Inny punkt posługi to zniszczony kościół św. Doroty.

Obrzędy celebrował ks. bp Stanisław Jamrozek z Przemyśla. W uroczystościach brały udział dwie siostry japonki, owoc posługi w parafiach i przedszkolu.

W dwóch domach na Ukrainie pracuje pięć sióstr Bożej Opatrzności. Trzy nowe siostry będą tymczasowo pracować w Polsce, choć marzą o powrocie na Ukrainę.

Siostry Bożej Opatrzności pragną powrócić do ich macierzystego Lwowa, dokąd zostały zaproszone przez proboszczą nowej Parafii św. Jana Pawła.

ks. Grzegorz Draus



Ў нас на Воўніу - У нас на Волині

95. ROCZNICA BITWY POD CHORUPANIEM NA WOŁYNIU



Uroczystej modlitwie za zmarłych na cmentarzu przed mogiłą poległych żołnierzy polskich przewodniczył ks. dk. Marcin Ciesielski

Fot. Archiwum

Pamięć o poległych w bitwie pod Chorupaniem uczczono w Dubnie na Wołyniu. Uroczystości zorganizowało Towarzystwo Kultury Polskiej w Dubnie.

Obchody 95. rocznicy bitwy pod Chorupaniem 19 lipca 2015 r. rozpoczęły się o godz. 15 Mszą Świętą w kościele pw. Św. Jana Nepomucena w Dubnie. Uroczystej Eucharystii przewodniczył ks. Andrzej Parusiński – proboszcz z Kostopola. W wygłoszonej homilii nawiązał do obecnej sytuacji na Ukrainie i potrzeby modlitwy o pokój.

Po Mszy Świętej wszyscy uczestnicy udali się na pobliski cmentarz przy ulicy Mirochoszczańskiej, gdzie znajduje się Grób żołnierzy którzy zginęli walcząc o niepodległość Ojczyzny w bitwie pod Chorupaniem. Przedstawiciele Towarzystwa Kultury Polskie w Dubnie oddali cześć poległym, złożyli kwiaty i zapalili znicze.

Bitwa pod Chorupaniem – bitwa stoczona na Ukrainie, na północny zachód od Dubna, nad rzeką Ikwą w dniach 13 lip-

ca – 19 lipca 1920 roku przez Grupę gen. Krajowskiego, której trzonem była 18 Dywizja Piechoty (II RP) pod dowództwem gen. F. Krajowskiego z 1 Armią Konną gen. S. Budionnego podczas wojny polsko-bolszewickiej. Walki żołnierzy polskich o Chorupań zostały upamiętnione na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie, napisem na jednej z tablic w II RP i po 1990 r – „CHORUPAŃ koło DUBNA 19 VII 1920”.

Uroczystej modlitwie za zmarłych na cmentarzu przed mogiłą poległych żołnierzy polskich przewodniczył ks. dk. Marcin Ciesielski. Modlono się za poległych w bitwie pod Chorupaniem, a także ze wszystkie ofiary wojen, szczególnie tych trwających dzisiaj.

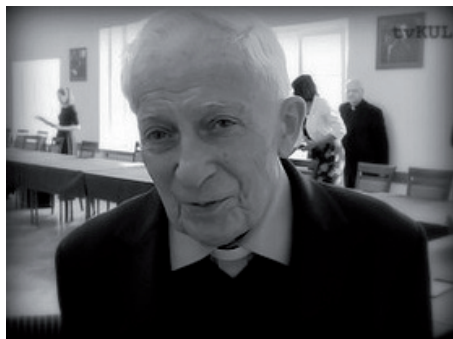
Uroczystości zakończyły się odśpiewanie suplikacji w intencji pokoju na Ukrainie i na całym świecie.

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie”.

Maria Bożko

Odeszli - Відійшли

ZMARŁ KS. PROF. MAREK ZAHAJKIEWICZ



Ks. prof. Marek Zahajkiewicz był wieloletnim wykładowcą historii Kościoła w Seminarium Duchownym w Lublinie, Kierownikiem Katedry Historii Kościoła w Średniowieczu KUL oraz kierownikiem Instytutu Historii Kościoła KUL.

Urodził się 18 lutego 1934 r. w Borysławiu. Święcenia kapłańskie przyjął 22 grudnia 1956 roku.

Zmarł 25 lipca 2015 r. w szpitalu Klinicznym nr 1 w Lublinie. Miał 81 lat. Aż 59 lat przeżył w kapłaństwie.

Przez długie lata był wykładowcą historii Kościoła w lubelskim seminarium. Jego wykładów słuchały pokolenia kleryków.

Słynął z zamiłowania do Kościoła oraz polskiej kultury i tradycji oraz punktualności. Należał do grona wyróżniających się profesorów w seminarium.

Przez wiele lat kierował Katedrą Historii Kościoła w Średniowieczu na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim oraz Instytutem Historii Kościoła KUL.

Uroczystości pogrzebowe odbędą się w środę, 29 lipca. Rozpocznie je Msza św.

żałobna w archikatedrze lubelskiej o godz. 13.00.

Msza św. pogrzebowa zostanie natomiast odprawiona tego samego dnia w kościele Rozesłania św. Apostołów w Chełmie o godz. 16.30.

Dalsza część uroczystości pogrzebowych będzie miała miejsce na cmentarzu przy ul. Wojsławickiej w Chełmie.

Ks. prof. Marek Zahajkiewicz był kanonikiem honorowym Ojca świętego, kanonikiem honorowym Kapituły Lubelskiej oraz kanonikiem gremialnym (seniorem) Kapituły Chełmskiej.

rp

Tekst zaczerpnięto z portalu
<http://info.wiara.pl/>

Od redakcji „WzW”:

Po kierunkiem ks. prof. Dra hab. Marika Zahajkiewicza ks. Andrzej Maciej Kwiczala napisał pracę magisterską pt. *„Dzieje parafii rzymskokatolickiej w Ostrogu na Wołyniu (1939-2000)”*, która została obrobiona w 2000 roku, a w roku następnym wydana drukiem.



Z życia Kościoła - З життя Церкви

SŁUDZY ŻYCIA POLSKO-UKRAIŃSKIE JUBILEUSZOWE SEMINARIUM UO UKSW W KRAKOWIE

W związku z dwudziestą rocznicą ukazania się „Karty Pracowników służby zdrowia” Uniwersytet Otwarty UKSW wraz z Fundacją Polską Raoula Follereau, Stowarzyszeniem Lekarzy Polskiego Pochodzenia na Wołyniu oraz Stowarzyszeniem „Lekarze Nadziei” zorganizował sobotę, 25 lipca 2015 r., w Centrum Duszpasterskim przy Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Krakowie uroczyste jubileuszowe polsko-ukraińskie seminarium naukowe „Słudzy Życia”. Spotkanie w tym szczególnym miejscu stanowiącym Światowe Centrum Miłosierdzia Bożego poprowadził kierownik Uniwersytetu Otwartego UKSW dr Kazimierz Szalata przy współudziale prezesa Stowarzyszenia Lekarzy Polskiego Pochodzenia na Wołyniu dra Sergiusza Prokopiuka, dra Jerzego Szczuruka i dra Stanisława Lomizowa.

Jak przypomniał we wprowadzeniu do seminarium dr Szalata, wydany dwadzieścia lat temu przez Papieską Radę do spraw Duszpasterstwa Służby Zdrowia dokument, streszczający nauczanie kościoła katolickiego w kwestiach związanych z medycyną jest swoistego rodzaju kodeksem katolickiej etyki lekarskiej i jako taki stanowi niesłuchanie ważne narzędzie zawodowej i osobistej formacji przedstawicieli zawodów medycznych pragnących w swej pracy kierować się zasadami Ewangelii. Mimo upływu czasu



**Jubileuszowe seminarium UO UKSW
w Krakowie**

Fot. Archiwum

„Karta pracowników służby zdrowia” nie tylko nie straciła na znaczeniu, ale wobec nowych wyzwań, jakie pojawiają się we współczesnej medycynie uwikłanej w relatywistyczne ideologie staje się coraz bardziej aktualna i to nie tylko dla katolików. Wszyscy, którzy chcą być wierni swemu powołaniu i cenią życie ludzkie potrzebują jasnego światła, jednoznacznej nauki w kwestiach bioetycznych. Od czasu pojawienia się encykliki „*Humanae Vitae*” kościół słowami kolejnych encyklik, adhortacji i listów pasterskich wyrażał nieustannie troskę o właściwą formację przedstawicieli świata medycznego, których omawiana „Karta” nazywa „*Sługami życia*”. Omawiany dokument jest jakby streszczeniem, albo inaczej mówiąc swoistego rodzaju kompendium nauki



**Jubileuszowe seminarium UO UKSW
w Krakowie**

Fot. Archiwum

kościół w kwestiach związanych z troską o zdrowie i życie ludzkie. Nieoceniony wkład w rozwój pogłębionej refleksji teologicznej i filozoficznej nad problemami moralnymi związanymi z medycyną współczesną wniósł tak ściśle związany z Łagiewnikami Papież święty Jan Paweł II. Stąd wybór miejsca na to szczególne jubileuszowe seminarium naukowe, które rozpoczęła wspólna modlitwa przy relikwiiach Apostołów Bożego Miłosierdzia św. Siostry Faustyny.

Warto zaznaczyć, że krakowskie polsko-ukraińskie jubileuszowe spotkanie poświęcone nauczaniu kościoła katolickiego, które z jednej strony opiera się na naturalnej, racjonalnej refleksji z poziomu filozofii człowieka i etyki, a drugiej na teologicznej refleksji opartej na objawieniu, miało charakter głęboko ekumeniczny. Oprócz katolików wzięli w nim udział przedstawiciele kościoła grekokatolickiego oraz prawosławnego. Wśród uczestników delegacji słuchaczy Łuckiej Szkoły Katedralnej UO UKSW oraz Stowarzyszenia Lekarzy Polskiego Pochodzenia na Wołyniu znaleźli się między innymi znani specjaliści różnych dziedzin medycyny tacy jak: dr Włodzimierz Szendebyło – zastępca dyrektora Miejskiego Szpitala Klinicznego w Łucku, dr Helena Kaczan –

główny wojewódzki socjalista kardiologii z Równego, dr Larisa Szendebyło – dyrektor wojewódzkiego Centrum Planowania Rodziny z Łucka, dr Ludmiła Rożko – główny wojewódzki socjalista pediatrii z Łucka, dr Helena Kurak – główny Wojewódzki socjalista neonatologii z Łucka, dr nauk med. Sofja Maslij – ordynator Szpitala Wojewódzkiego w Równem, dr. nauk med. Anna Kolesnyk – ordynator miejskiego szpitala w Łucku, dr Dmytro Struk – Wojewódzki socjalista stomatologii z Łucka, dr Jerzy Szczuruk – wojewódzki socjalista otolaryngologii z Łucka, dr Tetiana Sawczuk – zastępca dyrektora szpitala powiatowego w Maniewiczach, dr Olga Domańska – ordynator powiatowego szpitala w Nowowohłyńsku oraz dr Aleksander Banera – ordynator szpitala we Lwowie.

Wszyscy uczestnicy Seminarium otrzymali od Fundacji Polskiej Raoula Follereau wydany w języku polskim tekst „Karty Pracowników Służby Zdrowia” z przesłaniem, jakie w 1995 roku przekazał na ręce założyciela i kierownika Międzyuczelnianego Konwersatorium Etyki „Medycyna na miarę człowieka” dra Kazimierza Szalaty ówczesny przewodniczący Papieskiej Rady do spraw Duszpasterstwa Służby Zdrowia Fiorenzo Kardynał Angelini. Warto przypomnieć, że troska o popularyzację tego szczególnego dokumentu była pierwszym zadaniem, jakie otrzymała od Ojca Świętego Jana Pawła II powołana w 1995 roku na bazie Międzyuczelnianego Konwersatorium Etyki Fundacja Polska Raoula Follereau.

Kazamierz Szalata



Literatura - Airepatypa**POETA Z OSTROGA**

Leo Lew Gomolicki przyszedł na świat 27 sierpnia 1903 r. jako oczekiwane dziecko inteligenckiej petersburskiej rodziny. To swym przodkom pisarz zawdzięcza wielokulturową spuściznę i wielonarodowościowe tradycje swojej rodziny. Wzmianki w opracowaniach historycznych o korzeniach jego rodziny sięgają połowy XIX wieku. Stryjeczny pradziad Gomolickiego, Wojciech Zegrzda, był naczelnikiem miasta w Płocku podczas powstania styczniowego. Dziadek pisarza, Stanisław Zegrzda, został za to zesłany do Penzy – prowincjonalnego miasteczka leżącego 650 kilometrów na południowy wschód od Moskwy. Tam poznał piękną Rosjankę, zakochał się, a owocem tego związku była Adela Zegrzdówna, matka przyszłego pisarza. Poślubiła ona urzędnika zarządu rosyjskich kolei – Mikołaja Gomolickiego, przyszłego ojca Leo. W gospodarstwie Zegrzdówny, mimo polskiej krwi płynącej w żyłach pani domu, dominowała kultura i tradycja rosyjska, mająca największy wpływ na dzieciństwo, wczesną i późniejszą młodość Leo. Dlatego pierwiastek rosyjski nazначał trzy pierwsze dekady jego życia.

Obowiązki zawodowe Mikołaja zmusiły jego rodzinę do opuszczenia Petersburga. Musieli przenieść się do Ostroga na Wołyniu, miasta niezwykle zróżnicowanego kulturowo. Najstarsze zapisy o tym mieście pojawiły się już w 1100 roku, w staroruskim latopisie, zwanym Kroniką Nestora. Należało ono wtedy do kniazia Dawida Igorowicza. W 1386 roku Ostróg został włączony do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Był siedzibą rodów książęcych, własnością między innymi książąt Ostrogskich, Zasławskich, Sanguszków,

Wiśniowieckich, Jabłonowskich. Od początku XV była tu jedna z czterech wołyńskich gmin żydowskich, mających przedstawicieli w Sejmie Żydów Korony. W Ostrogu działało kolegium jezuickie, a swoją misję pełnili też kapucyni. Po między drugim i trzecim rozbiorem Polski Ostróg przeszedł pod zwierzchnictwo caratu Rosji. Mimo licznych najazdów (m.in. Tatarów i Kozaków), ostały się tutaj do dziś liczne zabytki: zamek książęcy z przyzamiową cerkwią, XVI-wieczna renesansowa synagoga oraz kościół farny. W takim kotle religijno-kulturowym dorastał młody Leo Gomolicki. Na jego oczach ścierały się ze sobą rosyjskie prawosławie, polski katolicyzm i żydowski chasydyzm. Te doświadczenia odbiły się na późniejszej twórczości prozaika.

Jednak nie tylko czynniki społeczne decydowały o kształcie osobowości pisarza. Także matka była osobą, która wpłynęła na rozwój duchowy i intelektualny syna. Czuwała nad kielkującymi w nim pasjami: muzyką i astronomią. Pielęgnowała jego zainteresowania plastyczne – za jej przykładem zaczął wcześniej malować. Formalne już studia plastyczne Leona przerwała dopiero druga wojna światowa. Za sprawą matki Leo rozwinął też zainteresowania teatrem. To ona zaszczerpiła w nim żyłkę aktorską, co zaowocowało kilkuletnią wędrówką z trupą teatralną po przedwojennym województwie stanisławowskim.

Mimo opiekuńczości matki, wczesne lata młodości spędzone w Ostrogu nie były dla pisarza sielanką. Wojna, rewolucja i upadek cywilizacyjny zachwiały egzystencją rodziny Gomolickich, zaginął ojciec i piętnastoletni Leo musiał pod-

jąc się pracy robotnika fizycznego. Mimo tego nie zaniedbał jednak nauki w ostrogskim gimnazjum. To w okresie gimnazjalnym Gomolicki rozpoczął swoją przygodę z literaturą, wydając w 1918 roku pierwszy zbiorek rosyjskojęzycznych liryków. Trzy lata później ukazał się w Warszawie tom jego prozy poetyckiej „*Miniatury*”. Przewija się w nim awersja pisarza do wojny, rewolucji oraz tęsknota za spokojnymi czasami dawnej Rosji.

W 1931 roku we Lwowie, gdzie pisarz pracował jako kreślarz przy pomiarach miasta, wydany został krótki utwór pt. „*Istoriaj odnogo rodstwa. Galszka kniaźna Ostrożskaja i Dimitrij Sanguszko*”. Kanwą tego utworu była historia wprowadzenia w 1553 roku przez Dimitrija Sanguszkę czternastoletniej Halszki z Ostroga, dziedziczki ogromnej fortuny księcia Eliasza Ostrońskiego. Kilkakrotnie w późniejszych utworach autor wracał do tego motywu, poruszanego zresztą także przez wcześniejszych twórców (m.in. J.I. Kraszewskiego).

Na początku 1931 roku Leo Gomolicki podjął decyzję o wyprowadzce do Warszawy. Używa już spolszczonego brzmienia imienia Leon, ale niewiele to zmienia w jego sytuacji życiowej naznaczonej ciężką pracą, niepewnością jutra, brakiem stałej posady. Wyraz żalu poety, potęgowanego takim stanem rzeczy, ujawnia cykl liryków „*Dom*”, opublikowany w wychodzącym w Chełmie w latach 1933-1939 pod redakcją Kazimierza Andrzeja Jaworskiego czasopiśmie literackim „*Kamena*”. W Warszawie Gomolicki spotyka się z życzliwością innych twórców. Nawiązuje kontakty z Julianem Tuwimem, który przetłumaczył później rosyjskojęzyczne juvenilia Gomolickiego, oraz Józefem Czechowiczem i krytykiem Bolesławem Micińskim.

W 1934 roku poeta publikuje poemat „*Warszawa*”, będący refleksją nad miej-

scem człowieka we współczesnym świecie. Kolejne dzieła autora „*Warszawy*” ewoluują od rosyjskiej liryki i archaizacji, ku autentyzmowi, szorstkości i prostocie, mających ożywić utartą i skostniałą już nieco formułę wiersza. Te eksperymenty przyniosły mu uznanie krytyki, zarówno polskiej jak i rosyjskiej. Jednak sukcesy Leona Gomolickiego – pisarza rosyjskojęzycznego przerwał wybuch drugiej wojny światowej. Pisarz z trudem znajduje dla siebie miejsce w wojennej rzeczywistości ze względu na swoją wielonarodowościową tożsamość. Kryje się ze swoimi zainteresowaniami, zarabiając na życie jako szklarz. Ale pisze też do szuflady. Powstają liryki, które dopiero w 1957 roku ukazują się pod tytułem „*Czas spopielaty*”.

Kwiecień 1945 roku splota na stałe losy Gomolickiego z Łodzią. W 1945 założony został tu tygodnik społeczno literacki „*Kuźnica*”. W gronie związanych nim intelektualistów pojawia się Leon Gomolicki, który szybko staje się głównym ekspertem w problematyce rosyjskiej. Pisarstwo schodzi w tym czasie na dalszy plan ustępując pola działalności naukowej związanej z historią literatury rosyjskiej. Gomolicki wiąże się jako rusycysta z Uniwersytetem Łódzkim i Wyższą Szkołą Aktorską w Łodzi. Oprócz pracy naukowej znajduje też czas na działalność publicystyczną. Spod jego pióra wyszło wiele opracowań literackich, wnoszących wielki wkład dla rozwoju polskiej rusycystyki.

W powojennych realiach brakowało fachowo przygotowanych materiałów przydatnych filologom rosyjskim, posilkowano się wówczas tłumaczeniami, nie zawsze stojącymi na odpowiednim poziomie. W 1950 roku badania nad życiem zesłanego do Rosji w latach 1824-1829 Mieczysława Czechowicza i studia nad Puszkinem zaowocowały najlepszymi chyba publikacjami

naukowymi czterdziestosiedmioletniego wówczas pisarza: „Mickiewicz wśród Rosjan” i „Wielki realista Aleksander Puszkina”.

Z początkiem lat 50 w życiu i twórczości Gomolickiego dokonuje się krytyczny przełom. W Polsce jest apogeum stalinizmu. Pisarz ze strachu przed spodziewanymi represjami systemu za swoje przedwojenne tęsknoty za „białogwardyjskim porządkiem” demonstruje „proletariacką” gorliwość inteligenta. Na kolejnym zjeździe Związku Literatów Polskich zobowiązuje się w czynie pierwszomajowym napisać powieść o tradycjach rewolucyjnych Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego, czyli dawnej fabryki Poznańskiego. Powieść w odcinkach drukuje „Głos Robotniczy” a twórczość ta zrazu komplementowana, z czasem staje się ośmieszana.

W roku 1952 Leon Gomolicki zrezygnuje zatem z pracy na Uniwersytecie. Zatrudnia się jako robotnik w ZBM im. Marchlewskiego. Pisze jednak dalej, już jako autentyczny pisarz – robotnik. W 1954 r. twórczość tę uhonorowała redakcja „Życia Literackiego”, wyróżniając autentyzm tzw. baśni robotniczych.

Prawdziwie złoty wiek w życiorysie literackim Leona Gomolickiego rozpoczyna się w 1959 roku. Otrzymuje II nagrodę w ogólnopolskim konkursie na powieść ogłoszonym przez Wydawnictwo Łódzkie za powieść „Ucieczka”. „Ucieczka” jest powrotem do lat dzieciństwa, do Podola, do miejsciny na pograniczu polsko – rosyjskim, miejsca narodowościowych i obyczajowych starć i konfliktów. Autobiografizm jest tu niezwykle widoczny. W młodym bohaterze bez trudu dostrzegamy przeżycia, jakie mogły targać Gomolickim, kiedy zamieszkiwał miasto Ostróg. Ten utwór, oceniony jako największe w jego dotychczasowym dorobku literac-

kim dzieło, został zauważony przez krytykę. Choć książka otrzymała drugą nagrodę w konkursie Wydawnictwa Łódzkiego to werdykt jurorów, którym przewodniczył Jarosław Iwaszkiewicz wzbudził sporo kontrowersji. Pojawiały się bowiem głosy, że to powieść autorstwa Gomolickiego powinna zwyciężyć.

Kolejne utwory polskiego już pisarza Leona Gomolickiego, jak „Uprowadzenie Baucis”, „Czasobranie” i „Wylączenie”, wprowadzają do polskiej literatury tematy i techniki literackie obecne w zachodnim pisarstwie. Kolejna powieść, „Białe runo”, wydana w roku 1962 znów odnosi się do doświadczeń przeszłości. Porusza na jest w niej tematyka robotnicza, jednak dzięki specyficznemu sposobowi narracji utwór ten zyskał sobie miano „antypowieści produkcyjnej”. Leon Gomolicki dzięki tym książkom dopracował swój warsztat prozaika do perfekcji. Zaczął poruszać więc coraz ambitniejsze tematy. Pojawiają się wybitne powieści pisarza: „Kiermasz”, „Owoc z grynszpanem”, „Wyprowadza na Patmos”, „Wydalenie”, „Dzikiemu”, „Taniec Eurynome”, „Arka”.

Polskojęzyczna twórczość prozatorska Leona Gomolickiego związana jest głównie z Łodzią. To tu wydał od 1957 roku zdecydowaną większość swych utworów. Został za to doceniony i uhonorowany w roku 1961 nieistniejącą już Nagrodą Literacką Miasta Łodzi im. Juliana Tuwima. Pisarstwo tego artysty, który polskiego nauczył się dopiero jako dorosły człowiek, wniosło niezwykle wkład w rozwój i odrodzenie polskiej literatury powojennej. Pisarz zmarł w Łodzi w 1988 roku.

Eugeniusz Zegrzda



Rapisali do nas - Написали до нас

MOJA WOŁYŃSKA ARKADIA

Wychowywałam się wśród cudownych, wołyńskich krajobrazów, w kresowym, patriotycznym domu moich dziadków Pauliny i Franciszka Czyżewskich w Podhajcach, dlatego chcę opowiedzieć o wsi wołyńskiej, aby ocalić od zapomnienia to, co bezpowrotnie zniknęło z wołyńskiego krajobrazu. Opisuję to, co latami słyszałam od rodziny, mojego dziadzia, świetnego narratora, który potrafił tak plastycznie opowiadać, że jak żywe wydawały się nam sceny z Wołynia. Będzie to też relacja z moich „doświadczeń”, to znaczy to, co widziałam sama wokół siebie. Byłam dzieckiem, a pamięć dziecka stanowi zagadkę, którą chcą zgłębić naukowcy, bo bardzo często dziecko zapamiętuje nawet to, co umknęło uwadze dorosłych. Ktoś powiedział: „*Czas zaciera wszelkie ślady*” – tych jednak nie sposób zatrzeć.

Idąc po starych śladach, dzielę się znanymi mi realiami.

Ze spisu ludności z lat 30 ubiegłego wieku wynika, że aż 79,4 procent Wołyniaków zajmowało się leśnictwem i rolnictwem. Po odzyskaniu niepodległości po 1918 roku na Wołyń do polskiej ludności zamieszkującej od stuleci tę ziemię zaczęli przybywać osadnicy wojskowi i cywilni z różnych regionów Polski, a nawet z innych krajów. Ludzi przyciągały rozległe przestrzenie, urodzajne ziemie, bogate lasy i urokliwe krajobrazy.

Ziemia Wołyńska była domem dla Ukraińców, Polaków, Żydów i innych nacji. Te różne narodowości żyły w zgodzie ze sobą i w harmonii z urzekającą pięknem przyrodą. Ich dzieci siedziały w czterookobowych szkolnych ławkach, a w miastach stały obok siebie kościoły, prawosławna cerkiew czy też żydowska sy-

nagoga. Małe miasteczka były przeważnie opanowane przez Żydów, a prócz typowych polskich wsi (Dębowa Karczma) były całe kolonie czeskie (Malowana), niemieckie (najwięcej w okolicach Łucka), były też wsie ukraińskie i mieszane, tak jak Podhajce, w których mieszkaliśmy.

Zanim jednak zacznę opowiadać o naszej wsi, wrócę do wspomnień z Łucka.

Mieszkała tu liczna rodzina mojego dziadzia. Na Boże Narodzenie i Wielkanoc zjeżdżały się do stolicy województwa nasze rodziny, zamieszkałe w różnych wołyńskich miejscowościach. Zabierano mnie wczesnym rankiem na rezurekcję w katedrze. W czasie nabożeństwa rozlegały się w kościele piękne trele kanarków. Mnie, dziecku, wydawało się, że to żywe ptaszki, bo nie tylko pięknie śpiewały, ale też poruszały skrzydełkami.

A prawda była taka, że organista uruchomił urządzenie pneumatyczno-mechaniczne, które nie tylko wpuszczało powietrze do kilku wysoko brzmiących piszczałek, ale i poruszało skrzydełkami rzeźbionych w drewnie ptaszków.

Nasze Podhajce leżały w odległości około trzech kilometrów od miasteczka Targowica nad Ikwią, w gminie Jarosławice, w powiecie dubieńskim. Była to wieś ukraińska, w której żyło kilkanaście rodzin polskich. Zabudowania dziadków znajdowały się tuż przy bitym trakcie Łuck – Dubno, w pewnym oddaleniu od wsi i ukraińskiego chutoru. Obie te narodowości – Polacy i Ukraińcy, ze wsi i chutoru – szanowały się nawzajem. Chrzčili i żenili swoje dzieci, byli dla siebie świętymi i kumami. Zdarzały się bardzo często małżeństwa mieszane. Sąsiedzi zapraszali się w gości przy różnych okazjach, a

Lato 1942. Równe,
ul. Piękna 18 lub 19.
Siedzą dziadkowie Paulina i Franciszek Czyżewscy. Stoją od lewej: rodzice Antoni i Bronisława Bałowie z Danutą. Z prawej pani Graczykowa

Fot. Archiwum
Danuty Siwiec



także w czasie świąt katolickich i prawosławnych. Wieczorami, po ciężkiej pracy, zbierali się na wieczorki, rozmawiali ze sobą serdecznie, ale najczęściej wieczorową ciszę urozmaicały piękne śpiewy w obu językach.

Ze wspomnień moich bliskich można było wywnioskować, że była to jakby arkadia, beztroska wieś, ograniczona tylko przez prawa natury. Na pewno, jak to bywa między ludźmi, zdarzały się też tu jakieś nieporozumienia, ale nie było tej nienawiści, którą zaszczepili mieszkańcom obaj okupanci. Najpierw w 1939 roku Sowietci rzucili między Polaków, a Ukraińców iskrę niezgody, a gdy w 1941 roku przyszli Niemcy, to do tego tłęcego się zarzewia nienawiści dolali oliwy.

Mój dziadzio Franciszek Czyżewski (rocznik 1890) uczęszczał do carskiego gimnazjum. Ten mądry inteligentny, a zarazem bardzo skromny człowiek cieszył się wielkim szacunkiem rodziny, społeczności wiejskiej i władzy państwowej. Był urzędnikiem państwowym – zachował się oryginalny dokument. Wujek Stefan był leśnikiem, a Jan należący do organizacji Strzelec – gospodarzem.

Dziadkowie posiadali dziesięć hektarów ziemi ornej, dwa hektary łąk i pastwisk, kilkumorgowy sad (z przewagą

śliw), a nawet kilkadziesiąt ulti, wiatrak do mielenia zboża (prowadziła do niego piękna lipowa aleja), olejarnię, a także wszelkie maszyny rolnicze czeskiej produkcji, zakupione w Równem. Dziadzio był światłym gospodarzem. Stosował nowoczesne sposoby gospodarowania. Korzystał ze stacji doświadczalnych.

Siał wyselekcjonowane ziarno, aby zwiększyć plony, częściowo stosował nawozy sztuczne. Korzystał też z instruktażu, jak zagospodarować łąki i pastwiska. Stacja Ochrony Roślin przeprowadzała opryski, uczyła jak szczepić drzewa owocowe i udzielała porad w zakresie zwalczania różnych szkodników.

Dziadzio przeżył 82 lata i stale opowiadał, a mój mąż Stanisław wiele z tego zanotował, dlatego też mogę to dokładnie odtworzyć. Dziadkowie mieli dwa domy: stary z bali drewnianych, ze słomianą strzechą i nowy (z 1936 roku) murowany, z dachówką w kolorze maków, a także kryte blachą budynki gospodarcze.

Za zabudowaniami były urodzajne pola. Na wołyńskich czarnoziemach dojrzewały zboża wyższe od rosnącego człowieka i mieniło się różnymi barwami coś jeszcze (chyba pola złotego rzepaku i białej gryki z różowym odcieniem). Pola porzeczinane były szerokimi, zielonymi

miedziami, na których z rzadka rosły grusze, najczęściej królowały na nich krzewy kolącej tarniny, rodzącej ciemnoniebieskie, cierpkie owoce, zwane tarkami. Czasem w polu stała samotna brzoza – płaczka. Polne drogi były obsadzone rosochatymi wierzbami, a na rozstajach dróg stały drewniane krzyże.

Biegałam po lesie i polach, a najbardziej lubiłam sprawdzić czy mi buty nie przeciekają. Gdy było ciepło, mogłam eksperymentować na bosaka. Wiadomo, jak wyglądałam, a szczególnie jak wyglądały moje nogi, gdy błoto zaschło. Nie pomagały żadne upomnienia, ale i z tym sobie poradzono. Przy domu rosło dużo słoneczników, gdy wybrano z nich ziarenka, pozostałość suszono i tym ostrym „środkiem kosmetycznym” szorowano mi nogi – nic przyjemnego!

Nigdy nie dowiedziałam się, kto wpadł na taki wspaniały koncept, ale okazał się on bardzo skuteczny, bo oduczono mnie taplania się w błocie.

Wracam jeszcze do naszych domów. W starym w kuchni było klepisko, a moja mama gdy była dziewczyną, maczała pędzel z trawy w wodzie z rozdrobnioną gliną i myła polepę.

Do kuchni można było wejść, gdy gлина wyschła. W kuchni nowego domu była drewniana podłoga, ale tak jak w starym, był tu piec chlebowy. Pieczony przez babcię chleb wypełniał przyjemnym zapachem dom cały.

Opisując wiejskie wołyńskie realia, nie można zapomnieć o zimach. Nie ma porównania do tych polskich, gdy jeśli śnieg napadał po kolana – już narzekamy. A na Wołyniu?

Zasypywało wszystko: drogi, pola, lasy, domy po sam dach, a nawet komin w niskich chatach. Dwaj wujkowie – Jan i Stefan – zanim rozpoczęli odśnieżanie podwórza, musieli najpierw uporać się ze

śniegiem, który wdarł się do sieni. Gdy już sień była wolna od śniegu, kopali „*tunel*” przez podwórze, aby dostać się do obory, stajni, kurnika, stodoły. Gdy już szlaki na podwórze były przetarte, szło się do chudoby jak kanionem, bo po obu stronach ścieżek piętrzyły się zwały śniegu, przekraczające swoją wysokością najwyższego człowieka.

Nie mogę tu zapomnieć sanny, gdy każdej niedzieli jechaliśmy do kościoła w Targowicy. Czasami do Jałowicz, gdy droga była bardziej przejezdna. W Targowicy proboszczem kościoła pw. Matki Boskiej Różańcowej był ksiądz Fijałkowski. Był on częstym gościem w naszym domu. Lubił dyskutować z inteligentnym gospodarzem. Opowiadał też różne anegdoty, które wykorzystywał w swoich ciekawych i mądrych kazaniach. Był smakoszem miodu z naszej pasieki. Lubił też przyrządzać przez babcię potrawy, a gotowała wyśmienicie, bo była przed wojną światową szefową kuchni w kasynie oficerskim w Łucku. Podobnie jak my, ksiądz Fijałkowski polubił babciny wynalazek. Babcia kroila do miseczki cebulę w plastry, soliła i zalewała świeżym olejem rzepakowym z naszej olejarni. Jakież to było jadło! Pamiętam jeszcze tęczową barwę oleju!

Widziałam ten mój ukochany Wołyń szczerymi oczami dziecka. Cokolwiek robię, tymi samymi oczami widzę urokliwe krajobrazy mojego dzieciństwa. Wołyń to moje życie, moje tęsknoty, moja miłość. Łza w oku się kręci, gdy to wszystko wspominam, a moja wołyńska nostalgia będzie ze mną do końca moich dni.

Jestem dumna, że pochodzę z bogatej, uroczej wołyńskiej krainy.

Danuta Siwiec



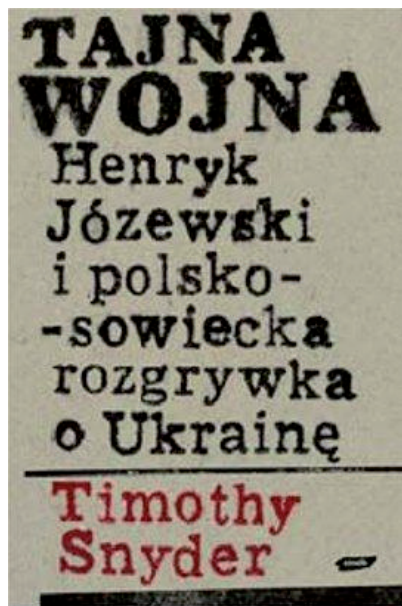
Wśród książek - Серед книжок

MISJA NIEMOŻLIWA JÓZEWSKIEGO

Timothy Snyder, historyk amerykański, wykładowca Uniwersyteku w Yale oraz Kolegium Europejskiego w Natolinie mówi biegle po polsku i można powiedzieć, że jest kolejnym obok Normana Daviesa i Timothy Garton Asha anglosaskim historykiem zafascynowanym Polską i jej dziejami. Swą pierwszą książkę poświęcił postaci Kazimierza Kelles-Krauza. W kolejnej, wydanej w polskim tłumaczeniu w 2006 roku rozważał kwestie kształtowania się narodów, rozwoju nacjonalizmu, konfliktów narodowościowych oraz dróg pojednania między narodami na przykładzie krajów Europy Wschodniej wyrostłych z wielonarodowej Rzeczypospolitej. W swej najnowszej książce kreśli portret Henryka Józewskiego i przedstawia jego polityczną działalność.

Postać Józewskiego doczekała się już wcześniej biografii autorstwa Jana Kęsika („Zaufany Komendanta. Biografia polityczna Jana Henryka Józewskiego 1892-1981”, Wrocław 1995), a całkiem niedawno została przypomniana również przez Piotra Mitznera w szkicu „Milczenie Józewskiego” zamieszczonego w książce „Gabinet cieni”, (Warszawa, 2008) wcześniej zaś opublikowanego w miesięczniku „Karta” (nr 5, 1991). Józewski był bez wątpienia postacią interesującą i barwną.

Polityk, działacz niepodległościowy i konspirator, jeden z zaufanych współpracowników Józefa Piłsudskiego, działacz Polskiej Organizacji Wojskowej, zwolennik polsko-ukraińskiego sojuszu z 1920 roku i wiceminister w rządzie Semena Petlury, później minister spraw wewnętrznych i szef gabinetu premiera w rządach pomajowych oraz wojewoda wołyński



w latach 1928-1938, wojewoda łódzki w 1939 roku, a także malarz, autor scenografii teatralnych, prywatnie przyjaciel wielu artystów i intelektualistów, m.in. Konrada i Michaliny Krzyżanowskich, Marii Dąbrowskiej, Stanisława i Jerzego Stempowskich czy Kazimierza Wierzyńskiego.

Książka Snydera nie jest w sensie ścisłym ani biografią Józewskiego, ani też monografią stosunków polsko-ukraińskich na Wołyniu czy polskich działań wywiadowczych przeciwko Związkowi Sowieckiemu w dwudziestoleciu międzywojennym. Jednak w zgrabny sposób łączy te wszystkie wątki w interesującą i solidnie udokumentowaną źródłowo opowieść. Pomysł takiego połączenia ma oczywiście zarówno swoje wady jak i zalety. Wadą jest pewien narracyjny chaos

polegający na tym, że niektóre zagadnienia zostały potraktowane bardzo obszernie, zaś inne ledwie zarysowane. Na przykład cały rozdział na temat powojennych losów Józewskiego i kulisów jego aresztowania przez UB ma niewiele wspólnego z tytułowym tematem rozgrywki polsko-sowieckiej o Ukrainę, poza tym może, że przedwojenna działalność Józewskiego była wykorzystywana przez bezpiekę w preparowaniu oskarżenia przeciwko niemu. Z drugiej strony przez kilka rozdziałów, w których autor omawia sytuację na Ukrainie w latach 30-tych i wydarzenia wewnątrz Związku Sowieckiego, w ogóle tracimy z oczu postać głównego bohatera.

Mimo tych wad kompozycyjnych książkę świetnie się czyta. Warsztat historyka, dotarcie do nieznanych źródeł i ich analiza są dla Snydera bardzo istotne i polskie środowisko historyczne to doceniło honorując książkę Snydera w 2006 nagrodą Pro historia Polonorum. Ale równie ważny co solidność warsztatowa i rygory naukowe, jest fakt, że jego książka ma być nie tylko pracą przeznaczoną dla wąskiego grona specjalistów, ale po prostu ciekawą lekturą dla czytelników zainteresowanych historią. Dlatego Snyder łączy biografię z szeroką panoramą historyczną, pisząc o głodzie na Ukrainie, rozgrywkach wewnątrz Związku Sowieckiego, o ruchu prometejskim, o kręgu przyjaciół Józewskiego, o jego malarstwie i fascynacji teatrem. Umiejętnie wplata reportersko-literackie „migawki”, jak choćby scena wizyty prezydenta Mościckiego na Wołyniu w 1929 roku, albo opisy snów Marii Dąbrowskiej obrazujące katastroficzne nastroje lat 30-tych.

Wbrew temu co o Józewskim sądził np. Jerzy Giedroyc, Snyder uważa, że jako wojewoda wołyński nie był on pięknoduchem. Gdy Snyder pisze o inspiracji dziedzictwem Rzeczypospolitej Obojga Narodów to nie ma na myśli abstrak-

cyjnej idei oderwanej od rzeczywistości, ale konkretną wizję i program obejmujący poszerzenie płaszczyzny polsko-ukraińskiego porozumienia narodowego, eliminację ekstremów narodowościowych i wspieranie odrodzenia narodowego Ukraińców tak, by zyskać ich lojalność w stosunku do Polski i osłabić wpływy komunizmu oraz ZSRR. Józewski, wbrew temu co zarzucali mu endecy, narodowy ruch ukraiński wspierał i rozwijał, ale starał się go również kontrolować w duchu interesów polskich. Był przekonany, że chwiejne status quo jest lepsze niż pomysły radykałów zarówno ukraińskich na Wołyniu, jak i polskich w Warszawie. Z komunistami na Wołyniu Józewski poczynał sobie twardo, wsadzał ich do więzień, zdając sobie doskonale sprawę z siły propagandy i działań sowieckich. Jednak polityka Józewskiego nie była podyktowana tylko względami geopolitycznymi i bieżącą sytuacją. Snyder wielokrotnie podkreśla, że wynikała ona z jego biografii i formacji intelektualnej. Przywołuje obraz wielonarodowego Kijowa, w którym urodził się i wychował Józewski, opisuje krąg przyjaciół, intelektualistów, odczuwających nostalgię za Ukrainą, związanych z jej kulturą, widzących w ustępstwach kulturalnych ważny krok w łagodzeniu napięć narodowościowych.

Warto zwrócić uwagę, że Snyder nie pisze monografii całej polsko-sowieckiej rozgrywki o Ukrainę. Píše jedynie o tych jej aspektach, które bezpośrednio związane były z postacią Henryka Józewskiego, a więc koncentruje się najpierw na jego działalności w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku, potem zaś na jego związkach z ruchem prometejskim oraz rządach jako wojewody na Wołyniu. Snyder całkowicie pomija zatem inne województwa II Rzeczypospolitej zamieszkałe przez Ukraińców, oraz inne aspekty tytułowej polsko-sowieckiej rozgrywki (np.

działalność ukraińskiej partyzantki). Nie jest to oczywiście zarzut – autor świadomie ogranicza swe pole badawcze i informuje o tym.

Czytelnik miałby natomiast ochotę dowiedzieć się więcej na temat dalszej ewolucji poglądów Józewskiego na sprawy ukraińskie już po tym, jak przestał on być wojewodą wołyńskim. A także na temat dalszych losów polsko-sowieckiej rozgrywki o Ukrainę. Przecież II wojna przyniosła radykalną zmianę sytuacji: rzeź Polaków na Wołyniu w 1943 roku, aktywizację partyzantki ukraińskiej, włączenie się w rzeczoną rozgrywkę o Ukrainę Niemiec. Jak Józewski się do tych wydarzeń i zjawisk odnosił? Czy i jak rewidował swój pogląd na kwestię ukraińską i jak oceniał w ich perspektywie swój eksperyment wołyński i cały program prometejski? Jak oceniali go inni?

Czy jest tak, jak pisał Tadeusz Drewnowski: *„Jakkolwiek polityka Józewskiego – poza wyprawą na Kijów z rządem Petlury – odznaczała się w Dwudziestoleciu troską o mniejszość ukraińską w kraju i dbałością o współzycie polsko-ukraińskie na Wołyniu, w perspektywie kończącej się II wojny światowej wydawała się zbyt wąska i anachroniczna, a doświadczenia polskie z Ukraińcami zbyt dramatyczne by na niej poprzestać. (...) W świetle realnej sytuacji frontowej i stosunku sił międzynarodowych w wyniku wojny, stanowisko Józewskiego, okazywało się bezradne i utopijne”*? Czy eksperyment wołyński był misją niemożliwą?

Ważnym wątkiem książki Syndera jest zwrócenie uwagi, że ostrze polityki Józewskiego na Wołyniu było skierowane głównie przeciwko Sowietom, że polityka ta była wynikiem kluczowej dla ruchu prometejskiego koncepcji osłabienia wpływów sowieckich przez wspieranie przyjaznych Polsce ruchów narodo-

wościowych. W jednym z wywiadów prasowych po wydaniu polskiego tłumaczenia książki, na pytanie, czy może dobrze, że pułkownicy pozbyli się Józewskiego z Wołynia w 1938 roku, Snyder mówi: *„Sytuacja była już wówczas bez wyjścia. Myśle więc, że lepiej było go zostawić. Ostre kurs podjęty po jego odejściu – na czele z bezmyślnym paleniem cerkwi – był strasznym błędem. Zaczęto Ukraińcom wbijać do głowy, że ich największym wrogiem nie są Sowiety, ale właśnie Polska. To również jest bardzo ważne dla zrozumienia genezy rzezi na Wołyniu. Józewski zdaniem Snydera, uważał, że propozycje przedstawione przez wołyńskich radykałów i jego rywali w Warszawie są bez wyjątku znacznie gorsze niż chwiejne status quo. Być może miał rację. (...) Szerza rzeczywistość polityki polskiej i europejskiej dyktowała wówczas trzy inne możliwości poza eksperymentem wołyńskim: polski nacjonalizm, sowiecką władzę lub niemiecką okupację. Gdy eksperyment dobiegł końca, wszystkie zostały wypróbowane w praktyce”*. Być może warto też spojrzeć zarówno na eksperyment wołyński jak i cały program prometejski, w dłuższej perspektywie, jako na inspirację dla chociażby koncepcji Jerzego Giedroycia i kręgu paryskiej „Kultury”, czy polskiego stanowiska względem „pomarańczowej rewolucji” na Ukrainie w 2005.

Pewne wątpliwości może nasuwać stosowana w książce terminologia, jednak dotyczą one może nie tyle autora, co tłumacza, czy też redaktora polskiego wydania. W książce wielokrotnie jest mowa o „*polских патриотach*”. To sformułowanie pojawia się często w publikacjach anglosaskiej historiografii na temat Polski, choćby w niedawnej książce Normana Daviesa o Powstaniu Warszawskim. Używane jest w odniesieniu do działaczy niepodległościowych, powstańców, w książ-

ce Snydera wyłącznie do ludzi z kręgu PPS i Piłsudskiego. Choć najwyraźniej autorzy anglosascy używają go jako terminu technicznego (na określenie wszystkich tych, którzy działają na rzecz niepodległości kraju), to jednak trzeba zauważyć, że w języku polskim ma on zdecydowany charakter wartościujący, nie jest neutralny. Czy endecy przeciwni akcji zbrojnej, lub opowiadający się za walką u boku Rosji w czasie I wojny światowej nie byli patriotami? Czy nie byli nimi zwolennicy pracy organicznej? Termin „*patriota*” jest w Polsce uwikłany w spór o patriotyzm, spór bardzo istotny, dlatego termin „*polski patriota*” raczej się nie sprawdza jako określenie opisowe.

W kilku miejscach pojawia się dość niefortunnie słowo „*obszarnik*” na określenie ziemian, termin wzięty przecież z propagandy komunistycznej. Zupełnie niezrozumiale Stanisław Stempowski jest w pewnym momencie określony jako „*populista*”. Kilkakrotnie Józewski i Piłsudski są nazwani „*etatystami*”, pewnie trafniejszy byłby używany wtedy i później termin „*państwowcy*”. Wreszcie warto zwrócić uwagę na użyte przez wydawnictwo Znak w reklamie książki sformułowania „*szpieg*”, „*agent*”, czy zwroty typu: „*tym razem nie była to walka «z otwartą przyłbicą», ale cicha wojna szpiegów i agentów*”, które niewątpliwie mają zwiększyć jej marketingową wartość. Reklama ma swoje prawa, ale w tym przypadku wydaje mi się to zabiegiem niepotrzebnym, zarówno ze względu na współczesne uwikłanie przywoływanych terminów, jak i na fakt, że działalność Józewskiego w POW w latach I wojny światowej nie była działalnością wywiadowczą, ale konspiracją niepodległościową. Trudno też powiedzieć by Józewski zajmował się szpiegostwem i działalnością wywiadowczą jako wojewoda wołyński.

Pozostając przy kwestiach terminologicznych, warto zwrócić uwagę, że Snyder często stosuje terminologię współczesną przejętą z dyskursu socjologicznego czy politologicznego do nazywania zjawisk historycznych. Na przykład w odniesieniu do rozmaitych działań społecznych na Wołyniu, organizowaniu aktywności społecznej i narodowej Ukraińców pisze o „*społeczeństwie obywatelskim*”. Podobnie w odniesieniu do działań Związku Sowieckiego w kwestiach narodowościowych Snyder używa wielokrotnie terminu „*akcja afirmacyjna*”, który jest częściej używany na określenie polityki społecznej realizowaną w USA od lat 60. XX w., mającej na celu wyrównanie szans historycznie upośledzonych grup mniejszościowych. Stosując ten termin Snyder podąża za książką Terry Martina „*The affirmative action empire: nations and nationalism in the Soviet Union, 1923-1939*” (Ithaca, 2001) poświęconej polityce narodowościowej w Związku Sowieckim w okresie stalinizmu. W Polsce historiografia raczej starała się dotąd unikać tego typu zabiegów. Pojawiają się one w publicystyce o tematyce historycznej czy książkach popularyzujących historię, ale w literaturze akademickiej zwykle są stosowane z dużą ostrożnością. Anglosasi zdają się tym mniej przejmować i o wiele częściej dynamizują i uatrakcyjniają swój wywód nawiązaniami do teraźniejszości, czy stosowaniem nowoczesnych terminów przejętych z obszaru innych nauk społecznych. Być może jest to dobra wskazówka również dla rodzimych historyków.

Paweł Mielczarek

Timothy Snyder, „*Tajna wojna. Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę*”, przeł. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków, 2008.

Dziedzictwo - Спадщина

HENRYK JÓZEWSKI – TWÓRCA
„EKSPERYMENTU WOŁYŃSKIEGO”

Jego życiorysem można by obdzielić kilka innych osób. Działacz niepodległościowy na Ukrainie, żołnierz Polskiej Organizacji Wojskowej, wojewoda wołyński. Przede wszystkim jednak zapisał się w historii jako jeden z architektów polityki prometejskiej i orędownik pojednania polsko-ukraińskiego.

WCZESNE LATA I PIERWSZA WOJNA ŚWIATOWA

Henryk Józewski urodził się w 1892 r. w Kijowie, będącym wówczas częścią Imperium Rosyjskiego. Jego rodzice przybyli do miasta kilka lat wcześniej w poszukiwaniu pracy, której nie mogli znaleźć w zacofanej gospodarczo Galicji, z której pochodzili (ojciec Henryka był inżynierem). Młody Józewski bardzo wcześnie zaczął się obracać w kręgach niepodległościowych. Już ok. 1905 r. jako uczeń gimnazjum wstąpił do „Korporacji” będącej organizacją samokształceniową, nastawioną na promocję nauki prowadzonej w języku polskim. W kolejnym roku rozpoczęła ona współpracę z zawiązaną w Kijowie komórką Polskiej Partii Socjalistycznej Frakcji Rewolucyjnej (PPS-FR). Zresztą wielu członków należało jednocześnie do obu struktur.

W czasie studiów należał prawdopodobnie do organizacji „Filarecja”, ale nie jest do końca jasne, jaką odgrywał w niej rolę, ponieważ była ona stosunkowo niewielka (ok. 100 członków) i głęboko zakonspirowana. W 1914 r. ukończył studia matematyczne w Kijowie i zdecydował się wyjechać do Krakowa, by podjąć studia malarskie. Jego pobyt trwał tam jednak bardzo krótko. Wiadomo, że spotkał się z Walerym Sławkiem i zadeklarował lojalność wobec Józefa Piłsudskiego, którego jednak osobiście nie spotkał. Tuż przed wybuchem wojny powrócił do Kijowa. Jak sam pisał, nastąpiło to w ostatniej chwili, gdyż zaraz po przejeździe pociągu armia austriacka wysadziła most w powietrze, aby opóźnić spodziewane natarcie wojsk rosyjskich.



**Henryk Józewski, minister w rządzie
Ukraińskiej Republiki Ludowej (1920),
wojewoda wołyński (1928-1929, 1030-
1938) w II RP**

Fot. Wikimedia Commons

W niedługim czasie wszedł w skład Komendy Naczelnej III (Wschodniej) Polskiej Organizacji Wojskowej i zaangażował się w działania zwiadowcze na rzecz Legionów, co równało się działalności na rzecz Austrii. W listopadzie 1915 r. jego ojciec, będący poddanym au-

striackim, został przesiedlony do Saratowa jako „*element niepewny*”. Henryk pojechał wraz z nim, choć prawdopodobnie nie został do tego zmuszony, gdyż jako urodzony w Kijowie nie był poddanym austriackim. Mógł więc powodować się albo względami sentymentalnymi (bo uważał, że powinien dzielić los z ojcem), albo też wykonał polecenie którejś z organizacji, do których należał (POW lub PPS-FR). Przez cały okres pobytu w Saratowie prowadził zresztą działalność wśród polskich uchodźców i jeńców. Przeżył tam także rewolucję lutową. Był nawet przez krótki okres członkiem miejskiego komitetu rewolucyjnego, jednak niepokoiły go powrót do kraju Lenina i rosnąca siła bolszewików. W związku z pogłębiającym się chaosem w czerwcu 1917 r. wrócił do Kijowa.

W tym samym czasie POW zakorzeniła się w mieście, ale nie podejmowała żadnych działań wymierzonych wprost przeciw Rosji. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę Komenda Naczelna III nie została rozwiązana, ponieważ sytuacja na Ukrainie nie była wyjaśniona [1]. W grudniu 1918 r. Kijów został zajęty przez ukraińską armię Symona Petlury, w lipcu 1919 r. kontrolę nad miastem zdobyła „*biała armia*” Antona Denikina. Komenda Naczelna III przez cały ten okres prowadziła działania zwiadowcze i przygotowywała informacje wywiadowcze dla Warszawy. Nie był to dla niej łatwy czas. Co prawda Polska rozpoczęła już wojnę z bolszewicką Rosją, ale jej wojska były daleko na zachód od Kijowa, a tymczasem bolszewicy zdobywali przewagę militarną w centralnej i wschodniej Ukrainie. W lecie 1919 r. Józewski objął kierownictwo nad całą działalnością Komendy Naczelnej III. Prowadził zwiad za liniami wroga, dowo-

dził oddziałem partyzanckim, który dokonywał aktów dywersyjnych, wydawał publikacje propagujące federację polsko-ukraińską oraz rekrutował agentów na potrzeby odrodzonego państwa polskiego. Działalność ta pozostawała jednak w pewnej próżni, ponieważ łączność z Warszawą była słaba. Gdy do Kijowa zbliżali się bolszewicy (koniec 1919 r.), Józewski udał się do Warszawy po instrukcje w sprawie dalszych działań, pozostawiając zwierzchnictwo nad lokalnymi strukturami POW w rękach swojego brata Jerzego.

WYPRAWA NA KIJÓW I WOJNA POLSKO-BOLSZEWICKA

W Warszawie Józewski wielokrotnie spotykał się z Józefem Piłsudskim, pełniącym wówczas funkcję Naczelnika Państwa, i przekonywał go o słuszności interwencji wojskowej na Ukrainie. Nie wiadomo, jaki był jego wpływ na decyzję Piłsudskiego, ale bez wątpienia była ona zgodna z jego osobistymi poglądami. Po zawarciu sojuszu z Petlurą wojska polskie podjęły bowiem ofensywę na Ukrainie w celu wyparcia wojsk bolszewickich. Józewski miał natomiast objąć stanowisko wiceministra spraw wewnętrznych w rządzie Ukraińskiej Republiki Ludowej. Będąc już w Kijowie, na polecenie Petlury pozyskiwał środowiska elity kulturalnej miasta dla idei odrodzonego państwa ukraińskiego. Sam Józewski określał swój status w rządzie Petlury tymi słowami:

„(...) *byłem Polakiem – mężem zaufania Polski i byłem Polakiem – wiceministrem ukraińskim, mężem zaufania Ukrainy. Nie byłem narzędziem Polski w ukraińskim rządzie, nie byłem agentem albo wtyczką. Polska mogła mieć do mnie zaufanie. W mierze nie mniejszej mogła mieć do mnie zaufanie Ukraina*”.

Po zajęciu Kijowa przez połączone wojska polskie i ukraińskie (bolszewicy wycofali się z miasta, nie podejmując jego obrony) Józewski odkrył, że pozostawiona przez niego struktura POW praktycznie przestała istnieć. Jak sam pisał: „(...) z Komendy Naczelnej III pozostał krwawy strzęp”. Jakby tego było mało, znaczna część pozostałych przy życiu członków organizacji została zwerbowana do współpracy przez bolszewików. Wtedy też, jak wspominał, zdał sobie sprawę z istoty rządów bolszewickich, dla których terror był stałą funkcją administracyjno-państwową. Rządy Petlury i Józewskiego w Kijowie trwały bardzo krótko. Już w czerwcu 1920 r., w wyniku kontrofensywy Sowietów, miasto dostało się po raz kolejny w ich ręce.

W sierpniu tego samego roku Piłsudski wezwał Józewskiego do Warszawy i w obliczu nadciągających wojsk sowieckich 12 sierpnia powierzył mu misję stworzenia partyzantki miejskiej w stolicy w razie zajęcia miasta przez nieprzyjaciela. Nie doszło do tego dzięki zwycięskiej bitwie warszawskiej. Formalnie pełnił funkcję w ukraińskim rządzie aż do podpisania pokoju ryskiego w marcu 1921 r. Nie uznawał go jednak za zakończenie sprawy państwowości ukraińskiej. Został ministrem spraw wewnętrznych w Ukraińskim Komitecie Centralnym, będącym rządem URL na uchodźctwie. Był także wysłannikiem Piłsudskiego ds. kontaktów z przywódcami ukraińskimi. Jednak kres nadziejom na pozytywne i szybkie rozwiązanie sprawy ukraińskiej położyła klęska tzw. drugiego pochodu zimowego, który zakończył się wzięciem do niewoli i rozstrzelaniem większości jego uczestników.

Za działalność w POW przed i w trakcie wojny polsko-bolszewickiej Józewski został odznaczony krzyżem *Virtuti Milita-*

ri. Od 1922 r. jego działalność była mniej intensywna, a po wycofaniu się z polityki przez Piłsudskiego także jego ukraiński współpracownik zawiesił działalność publiczną. Zamieszkał na Wołyniu jako osadnik wojskowy (nadanie przysługiwało mu za służbę w POW) i zajmował się głównie malarstwem.

PRZEWROT MAJOWY

Od 1925 r. przebywał w Warszawie na rządowym stypendium malarskim. Tam też zastał go przewrót majowy. Nie jest do końca jasne, jaki był jego bezpośredni udział w samym przewrocie. Wiadomo jednak, że po przejęciu władzy przez piłsudczyków powrócił do polityki i zajmował ważne stanowiska rządowe. Pracował w Gabinetie Prezesa Rady Ministrów, nadzorując i koordynując prace Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz Ministerstwa Spraw Wojskowych. Odegrał znaczącą rolę w przygotowywaniu wyborów parlamentarnych w 1928 r. Wraz z Kazimierzem Świtalskim i Walerym Sławkiem współtworzył koncepcję Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (dalej BBWR) i był odpowiedzialny za budowę jego struktur regionalnych oraz stworzenie list kandydatów w przyszłych wyborach. Po ich przeprowadzeniu, wiosną 1928 r., Józewski wyjechał z Warszawy do Łucka, gdzie objął funkcję wojewody wołyńskiego.

EKSPERYMENT WOŁYŃSKI

W momencie objęcia przez niego funkcji wojewody pod koniec czerwca 1928 r. sytuacja na Wołyniu była skomplikowana. Pierwszym problemem tego regionu było zacofanie gospodarcze. Obszar ten był zawsze peryferyjny i stosunkowo słabo rozwinięty. Około połowy jego powierzchni zajmowały bagna i lasy. W mo-

mencie przyłączenia go do Polski w 1921 r. był zrujnowany kolejnymi konfliktami (pierwsza wojna światowa, rosyjska wojna domowa, wojna polsko-bolszewicka). Niewiele miast miało regularną sieć ulic, kanalizacja funkcjonowała jedynie w Ostrogu, tylko trzy miasta miały dostęp do energii elektrycznej (Ostróg, Łuck i Równe miały po 1 generatorze). Odsetek analfabetów w zależności od miejsca zamieszkania i grupy wyznaniowej wahał się od 31% wśród katolików w miastach do 84% wśród prawosławnych na wsi. Państwo polskie rozpoczęło modernizację, budowało szkoły (odsetek dzieci uczęszczających do szkoły wzrósł pomiędzy 1921 a 1939 r. z 15 do 70%), prowadziło elektryfikację i telefonizację miast, jednak miało ograniczone możliwości finansowe. Z uwagi na rolniczy charakter regionu ważnym działaniem państwa było także przeprowadzenie redystrybucji ok. 1,5 mln ha ziemi uprawnej. Ze statystycznego punktu widzenia reforma rolna na Wołyniu była sukcesem. Nie zmniejszyło to jednak napięć społecznych, ponieważ na reformie skorzystali bardziej Polacy niż Ukraińcy.

Innym problemem Wołynia była jego struktura etniczna. Zdecydowaną większość stanowili tam Ukraińcy (prawie 70%). Polacy stanowili ok. 17%, a kolejne 10% Żydzi, którzy licznie dominowali w miastach. Mimo szerokiej akcji polskiego osadnictwa wojskowego na kresach w okresie II Rzeczypospolitej udział polskiej ludności Wołynia systematycznie malał: od 17,3% w roku 1921 do 16,7% w 1937 r. Pomimo tego, że Polacy i Żydzi stanowili mniejszość, dominowali. Polakami była przytłaczająca większość pracowników administracji oraz bogatych właścicieli ziemskich, natomiast Żydzi nieomal zmonopolizowali lokalny handel.

Józewski mimo to był optymistą. Jego wizja świata opierała się na dwóch tradycjach – europejskim oświeceniu oraz republikanizmie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Uważał, że możliwa jest współpraca Polaków i Ukraińców na rzecz wspólnego dobra. W przeciwieństwie do postulowanej przez Narodową Demokrację asymilacji narodowej, postawił na asymilację państwową – jego celem było ugruntowanie lojalności Ukraińców wobec państwa polskiego. Jego politykę nazywano „eksperymentem wołyńskim”.

W jego centrum leżała polityka prowadzona wobec ukraińskiej większości zamieszkującej Wołyń. Polegała ona na wsparciu dla kultury ukraińskiej oraz pomocy w budowie infrastruktury edukacyjnej. Ponadto w już istniejących szkołach wprowadzono ukraiński jako język dodatkowy lub też jako drugi język nauczania. Sprawił, że zapis o możliwości wyboru języka, w jakim prowadzona była nauka dzieci przez ich rodziców, zaczął być respektowany (obowiązywał już wcześniej, ale był dość powszechnie ignorowany). To samo dotyczyło szkół, które już wcześniej były nominalnie dwujęzyczne. Tworzył i rozbudowywał również organizacje spółdzielcze oraz kółka czytelnicze. Część z istniejących wcześniej organizacji ukraińskich, zarówno edukacyjnych jak i spółdzielczych, została na polecenie Józewskiego zlikwidowana, głównie z uwagi na ich głęboką infiltrację przez środowiska komunistyczne. Tworzenie organizacji edukacyjnych kontrolowanych w dużej mierze przez aparat państwowy miało stanowić element sterowania Ukraińcami zamieszkującymi Wołyń [2]. W ramach podjętych działań udało się, z jednej strony, zwiększyć udział Ukraińców wśród urzędników (przede wszystkim szczebla lokalnego), a także pobudzić wśród nich

działalność samorządową. Z drugiej jednak strony, jego nominacje urzędnicze obejmowały głównie Ukraińców pochodzących z Galicji, z którymi współpracował jeszcze w czasach swojej aktywności w POW. To samo dotyczyło umieszczenia kandydatów ukraińskich na wysokich miejscach list BBWR w wyborach parlamentarnych w 1930 r. Polityka prowadzona przez Józewskiego stanowiła więc niezwykle połączenie represji politycznych, ustępstw oraz prób zachowania szacunku dla lokalnych obyczajów.

Kolejnym istotnym problemem Wołynia była kwestia religijna. Ukraińcy mieszkający na Wołyniu byli głównie wyznania prawosławnego, a w momencie obejmowania przez Józewskiego stanowiska wojewody większość duchowieństwa była narodowości rosyjskiej. Co więcej, było ono także hierarchicznie podporządkowane patriarsze moskiewskiemu, a nadto od czasu odzyskania przez Polskę niepodległości toczył się proces rekwizycji cerkwi prawosławnych, które kojarzono z czasami carskiego ucisku. O ile burzenie cerkwi lub zamiana ich na świątynie katolickie nie były kontrowersyjne na terenach zdominowanych przez Polaków, którzy byli w większości katolikami, to w regionie, gdzie 70% mieszkańców wyznawało prawosławie, budziło to zrozumiałe emocje. Polskie władze starały się rozwiązać problem podległości kościoła prawosławnego działającego w Polsce Moskwie już na początku lat 20., ale nic z tego nie wyszło. W kolejnych latach starano się zdobyć poparcie hierarchy Konstantynopola dla projektu utworzenia Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego w Polsce [3]. Józewski przewodniczył zresztą delegacji rządowej w negocjacjach prowadzonych z hierarcha-



Henryk Józewski, lata 20. XX wieku
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

mi prawosławnymi dotyczącymi uregulowania statusu prawnego tego Kościoła. Równocześnie, w terenie prowadził działania mające na celu ukrainizację struktur Kościoła prawosławnego. W negocjacjach zyskał między innymi zgodę warszawskiego hierarchy prawosławnego na utworzenie arcybiskupstwa w Łucku, które objął Ukrainiec Ołeksij Hromadski. Józewski był także orędownikiem wprowadzenia języka ukraińskiego do liturgii – na co zgodził się nowy arcybiskup wołyński. Negocjacje odnośnie do statusu Polskiego Prawosławnego Kościoła Autokefalicznego przeciągnęły się aż do 1938 r., gdy został on wreszcie uregulowany dekretem prezydenta Mościckiego.

W końcu, Józewski musiał się zmierzyć ze skrajnościami sceny politycznej. Na Wołyniu żywy był zarówno komunizm, jak i nacjonalizm. Jednym z założeń eksperymentu wołyńskiego była likwidacja ekstremów politycznych. Działalność Józewskiego przebiegała dwutorowo. Z jednej strony, chciał zmniejszyć atrakcyjność społeczną komunizmu, a z drugiej, po wprowadzeniu zakazu działalności komunistycznej, wtrącał komunistycznych liderów do więzień. Drugie zadanie przebiegało o tyle łatwo, że Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy znajdowała się w rozsypce. Jej struktury zostały rozwiązane przez Moskwę w związku z „odchyleniem pravicowo-nacjonalistycznym”, a nowi liderzy nie mieli autorytetu wśród lokalnych działaczy. Ułatwiało to organom ścigania infiltrację komunistów, a także nie sprzyjało pozyskaniu przez tych ostatnich nowych członków. W gruncie rzeczy jednak problem społecznego poparcia ustroju sowieckiego w dużej mierze rozwiązał się sam. W 1930 r. na sowieckiej Ukrainie zintensyfikowano kolektywizację rolnictwa, którą – wobec oporu miejscowej ludności, prowadzono brutalnymi metodami. Tymczasem jednym z głównych postulatów KPZU było odebranie ziemi obszarnikom i rozdanie jej chłopom bez odszkodowania. Spowodowało to falę uchodźstwa z ZSRR do Polski. Drastyczne opowieści chłopów o tym, co dzieje się po drugiej stronie granicy znacznie zmniejszyły bazę społeczną komunistów, przede wszystkim na obszarach przygranicznych. Józewski stosunkowo skutecznie poradził sobie także z partyzantką komunistyczną działającą na obszarze Wołynia na początku lat 30. Nacjonalizm na Wołyniu nie stanowił takiego zagrożenia jak w Galicji, gdzie był istotnym problemem. Dowodem na to

może być fakt, że nawet pod koniec lat 30. na Wołyniu nie dochodziło do wielu ataków na Żydów.

Aby zrozumieć podejście Józewskiego, należy pamiętać, że był zaangażowany w ruch prometejski polegający, w dużym uproszczeniu, na wspieraniu aspiracji niepodległościowych narodów wchodzących w skład ZSRR, przede wszystkim poprzez uznanie i utrzymywanie kontaktów z ich rządami na uchodźctwie. Prometejczycy chcieli skierować politykę narodowościową prowadzoną przez ZSRR w latach 20. XX wieku przeciw temu państwu. Wierzyli, że możliwe jest rozsądzenie „kraju rad” od środka poprzez wsparcie dla narodów będących pod panowaniem rosyjskim w ZSRR. Ruch prometejski był w Europie wspierany przez Francję, Wielką Brytanię (ograniczając się głównie do wsparcia moralnego) oraz przez Polskę (organizyjnie i finansowo).

W związku z tym, należy rozumieć, że Józewski traktował politykę prowadzoną wobec Ukraińców na Wołyniu w szerszym kontekście międzynarodowym. Widział możliwość jej zastosowania na innych terenach kresowych, a także w przyszłości na terenach krajów powstałych z rozpadu ZSRR. Wiara w upadek Związku Radzieckiego i możliwość odbudowania niepodległej Ukrainy z obszarów znajdujących się pod jego panowaniem była kolejnym założeniem postępowania Józewskiego. Mało znane jest jego podejście do możliwości włączenia do niepodległego państwa ukraińskiego terenów należących do Polski. Józewski unikał odpowiedzi na to pytanie, twierdząc zawsze, że Wołyń leżący w granicach Polski nie leży w sprzeczności z niepodległym państwem ukraińskim. Ciosem dla polityki prometejskiej na terenie Wołynia było podpisanie przez Polskę i ZSRR paktu o nieagre-

sji w 1932 r., po czym koncepcje prometeizmu w oczach wielu polskich polityków straciły rację bytu.

PORAŻKA I DYMISJA

Polityka oparta na prometeizmie i „*eksperymentach wołyńskim*” prowadzona przez Józewskiego zakończyła się porażką. Pomimo początkowych sukcesów nie zapobiegła ona ani wzrostowi popularności ideologii komunistycznej, ani przede wszystkim rozbudzeniu nastrojów nacjonalistycznych i antypolskich wśród ukraińskich mieszkańców Wołynia. Działania Józewskiego z pewnością pomogły w pobudzeniu ducha narodu ukraińskiego, jednak w przeciwieństwie do jego założeń nie owocowało to lojalnością do państwa polskiego, lecz wzrostem nastrojów nacjonalistycznych. Nie powiódł się także jego plan odcięcia Wołynia od Galicji Wschodniej, w której ukraiński nacjonalizm rozwijał się wcześniej i silniej. Od połowy lat 30. koncepcje Józewskiego znajdowały coraz słabsze oparcie w realiach politycznych. Zdawał on sobie z tego sprawę, ale uważał, że jego polityka pozostaje najlepszą z możliwych na tym terenie. Faktem jest, że jego oponenci mieli do zaproponowania jedynie program polonizacji kresów, z czym Józewski nie zgadzał się z przyczyn światopoglądowych.

Silnym ciosem dla pozycji Józewskiego była śmierć Józefa Piłsudskiego w maju 1935 r., po której stracił gwaranta, jeśli nie akceptacji, to przynajmniej tolerowania jego projektów przez innych członków administracji. Wojewoda znajdował się w coraz głębszej izolacji politycznej. Od lat znajdował się na uboczu głównego nurtu życia politycznego, co musiało z całą mocą działać na jego niekorzyść po stracie głównego protektora.

Coraz gorętszy był jego konflikt z władzami Lubelskiego Okręgu Wojskowego, któremu podlegał Wołyń. Jego analitycy uznawali sytuację w tym regionie za niebezpieczną dla Polski i prognozowali, że w razie ataku ZSRR większość ludności Wołynia opowie się po stronie najeźdźcy. Za wzrost popularności ukraińskiego nacjonalizmu obwiniano prowadzoną przez Józewskiego politykę ukrainizacji Cerkwi prawosławnej. Przewagę zdobywała, lansowana już wcześniej przez władze wojskowe, koncepcja polonizacji kresów. W kwietniu 1938 r. Józewski został odwołany z funkcji wojewody wołyńskiego, przenosząc się na stanowisko wojewody łódzkiego. Tu po raz pierwszy zrozumiał, że zagrożeniem dla Polski jest nie tylko ZSRR, ale także Niemcy i nazizm.

II WOJNA ŚWIATOWA I CZASY POWOJENNE

Po wybuchu II wojny światowej wraz z całą administracją państwową udał się na Wschód, ale odmówił ewakuacji do Rumunii. Zdobył poparcie dla swojego projektu stworzenia na terenie Wołynia partyzantki złożonej z ukraińskich chłopów mającej walczyć z Niemcami. Po inwazji wojsk radzieckich projekt ten stał się bezprzedmiotowy. Józewski przedostał się do Warszawy, gdzie już w 1939 r. rozpoczął aktywność konspiracyjną. Działal w Komendzie Głównej Służby Zwycięstwa Polsce jako komendant okręgu Warszawa-miasto oraz w Związku Walki Zbrojnej jako komendant okręgu Warszawa-województwo, a potem w ramach Armii Krajowej. W 1943 r. został ranny w zamachu na swoje życie przeprowadzonym przez komunistów (w jego wyniku do końca życia kulał).

Po zakończeniu wojny kontynuował działalność podziemną w organi-

zacji Wolność i Niezawisłość. Mimo istnienia takiej możliwości nie chciał opuścić kraju. W przeciwieństwie do większości Polaków nie uważał umowy jałtańskiej za zdradę Polski. Widział w niej analogię do pokoju ryskiego z 1921 roku. Wysnuwał podobne wnioski, sądząc, że nie jest ona ostatecznym rozwiązaniem sprawy polskiej i że należy wykorzystać pierwszą możliwą okazję do zmiany sytuacji. Liczył, że Polska zostanie wyzwolona spod panowania radzieckiego i że władze nowego państwa będą się rekrutować spośród Polaków przebywających w kraju. Ukrywał się, wielokrotnie zmieniając miejsce i tożsamość. Został aresztowany w 1953 r., na kilka dni przed śmiercią Stalina. Prawdopodobnie uratowała mu ona życie. Po toczącym się ponad rok śledztwie i procesie został skazany na dożywotnie więzienie. W 1956 r., na fali odwilży, najpierw zmniejszono jego wyrok do 12 lat więzienia, potem do 5 lat, a na koniec – anulowano. Wyszedł na wolność w 1957 r. Powrócił do malarstwa i nie angażował się już w działalność polityczną. Zmarł w Warszawie w kwietniu 1981 r. w wieku 88 lat. Został pochowany na warszawskich Powązkach.

Przypisy:

[1] O wpływy na Ukrainie walczyły w tym czasie cztery siły dysponujące mniejszym lub większym zapleczem zbrojnym. Byli to bolszewicy, rosyjska „biała” armia, ukraińska armia Petlury oraz Polska, której granica wschodnia, a nawet niepodległy byt, były ciągle niewiadomą. Do tego należy jeszcze doliczyć wojska niemieckie, które po utworzeniu niepodległej Polski zostały odcięte od macierzy i ich ewakuacja stanowiła problem logistyczny oraz polityczny.

[2] Działania te, wraz ze współdziałaniem kleru oraz poparciem dla kandydatów narodowości ukraińskiej (choć głównie pochodzących z Galicji, a nie miejscowych), doprowadziły do wyborczego sukcesu BBWR w wyborach w 1930 r. Otrzymał on na Wołyniu jeden z lepszych wyników w kraju (79% wobec 55,6% w skali kraju), choć nie obyło się bez fałszerstw wyborczych, których skala jest trudna do oszacowania.

[3] Patriarcha Konstantynopola był tradycyjnie skonfliktowany z patriarchą moskiewskim. Spór ten postanowiły wykorzystać polskie władze, które w zamian za 24 tys. funtów szterlingów złożonych w „darze” uzyskały błogosławieństwo dla polskiego Kościoła autokefalicznego.

Bibliografia:

Józewski Henryk, „Zamiast Pamiętnika”, „Zeszyty Historyczne”, 1982, z. 59, 60.

Józewski Henryk, „Zamiast Pamiętnika”, „Zeszyty Historyczne”, 1983, z. 63.

Kęsik Jan, „Zaufany Komendanta. Biografia polityczna Jana Henryka Józewskiego”, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1995.

Snyder Timothy, „Tajna wojna. Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę”, Znak, Kraków 2008.

Kamil Przyborowski

Tekst zaczerpnięto ze strony:
<http://histmag.org/>



Wieczory wołyńskie - Волинські вечори

KU OSTROGOWI

Ale czas dalej z Dubna, które nas dłużej nadspodziewanie zatrzymało. Droga dalsza prowadzi przez Warkowicze, z wielkim pałacem nad stawem, i ruiną kościoła; miasteczko na oko przynajmniej porządne, a w położeniu prześlicznym, ku Ostrogowi, stolicy książąt tego imienia.

Kraj cały mimo równo żyznych, przecinających go, precudownym co chwila wstrzymują oko obrazy świeżości, młodości, uroku pełne... Jedzie się górkami, gajami, wsiami w rozkosznych położeniach; ale człowiek nic tu prócz pałacyków nie pobudował. Za Warkowiczami które zastanawiają feudalna fizjognomią zamku, jeszcze mieszkalnego, u wsi Uiźdzce przejeżdża się część gór, *koziemi* zwanych, które zdobią bardzo ten kraik.

Jest to odnoga Karpatów, rozplywających się powoli na płaszczyznach Wołynia. Góry te pokryte laskami, w kształtach bardzo wdzięcznych, powyginanane, gdzieś niedzie rozdarł łomem kruchego piaskowca, urozmaicają widok. Sine ich pasma giną gdzieś niedzie w oddaleniu, poplamione zaroślami ciemniejszymi. Boki ich, łagodniej schodzące ku równinom, są miejscami uprawne. Aż do Ostroga ciągle gościniec zwija się krajem uśmiecniętym, w ostatku oko odkrywa to miasto ruin i grób wielkości jednej ze znaczniejszych rodzin Rusi Wołyńskiej. Nie wiem jak ono za świetnych swych wyglądało czasów, ale dziś to obraz cudnie piękny... Przypominał by Łuck ilością ruin nagromadzonych, ale położenie całkiem inne. Pierwszy leży w dole, u wód Styrowych, płasko rozciągnięty Ostróg piętrzy się na dosyć podniosłych wzgórzach, zyskując wiele na tam... Od strony Dubna wita nas wielka, na pół roz-



kopana i rozdarta mogiła, a na niej krzyż co się nad poganką zlitował, wyciąga ramiona błogosławieństwa.

Zaraz za nią otoczony murem mijamy kościółek kapucyński, ruinę, ozielenioną drzewy którą tak cudnie opisał X. Hołowiński; tuż dają się postrzegać celniejsze ściany murów dawnego Ostroga, kilka murowanych bram, ś. Trójcka cerkiew i baszta na górze zamkowej, ogromne klasztory jezuickie i bazylikańskie. Wszystko to zakupione na przestrzeni nie wielkiej, a u podnóża olbrzymów tych z których duch i życie uciekło, kletki drewniane, nędzne domostwa dzisiejsze. Rzekłbyś że nowe pokolenie samo się uznało niegodnym zamieszkiwać w tych wspaniałych ruinach, i dobrowolnie przeniosło się z pokorą do budek i

szałasów, dla niego wystarczających. Porównanie wszystkiego dawnego z nowym, napelnia upokorzeniem niewysłowionem. Gdzież te bogactwa, moc, potęga, gdzie myśl co tem dziełem sterowała? Nic że się nie odrodzi, nikt że ich nie odziedziczył?

Ostatni dziedzic Ostroga smutna losu igrzyska, w domu obłąkanych bez nadziei uleczenia, ma się za pana świata, a zarazem za naczelnego strażnika szpitalu, i w nim może przeznaczono mu skończyć życie!!

Gdybyśmy nie dla urągowiska i wymówek, ale ze szczerą boleścią dotknęli historii rodzin pańskich, zgasłych lub gasnących na Wołyniu, pokazałoby łatwo że niemal wszystkie upadły własną winą i skutkiem wszelakich nierządów. Ale ten obraz z największem malując umiarkowaniem, popadlibyśmy w podejrzenie nieprzyjaźni którą nam zadawano zbyt często, by sobie tego teraz odmówić miano, poszło by to na rachunek jakiejś systematycznej niewiści przeciw arystokracji, gdy z miłości jej dobra wołamy do niej o podźwignienie się moralne, o nieoddzielanie od ogółu ani myślą, ani obyczajem, ani mową, ani przesądem urodzenia... Dobrze to powiada przysłowie jakieś, że ten najgłuchszy kto słuchać nie chce.

Upadkowi u nas wielkich i sławnych rodzin zaprzeczyć trudno, w oczach naszych odegrały się ostatnie sceny tego dramatu, tej kary Bożej, w której straciliśmy wszyscy, bo nam starych wodzów i przewodników zabrakło. Majętności, charaktery, serca, nieposzlakowana prawość, do ofiar gotowość, wszystko to poszło w proch i rumowisko; dziś miejsce tych odrzuconych zajmują świeżo jak grzyby wyrosłe podpanki...

Nim się wyrobi nowa klasa coby istotnie przodkować nam mogła czemś więcej, nie samą dumą jak ci nowo kreowani dobrobkiewicz, szkoda nam wielkich imion zgasłych, a bardziej ducha co je ożywił. Ale mogłoby być inaczej gdy między niemi

a nami pękł węzeł dawny, i zostali niepodparci, bez natchnienia, sami sobą i sami dla siebie, gdy zapragnęli żyć w samolubnym zasklepieniu i odłączyli się od ogółu, lękając ocierać o kapoty szare swych grono-stajowych płaszczów? Zaczęło się to dawno, od lekkiego pojmwania życia, od sobkowstwa, od francuskiej polityry, a skończyło dla jednych obłąkaniem, wygnaniem dla drugich, dla innych ubóstwem, kupionem rozrzutnością nieopatrzna, poniżeniem, steraniem, ożenieniami z kucharkami i kluczniami i t. d. i t. d.

Tymczasem wystąpili zastępcy na miejsce nieprzytomnych, i za parę set lat gdy się z nich zetrze rdza i chropowata łupina, może wyjdą na coś pańskiego. Dziś to jeszcze śmierdzi dumą więcej niż zasluga, i wyżej drze nosa niż ma prawo.... Cała ta nowa arystokracja nie ze krwi, nie z boju, nie z posług obywatelskich, a... z grosza! tylko powstała.

Pochodzenie takie nie prędko się zacie-
ra...

Józef Ignacy Kraszewski

Fragment książki:

Józef Ignacy Kraszewski, „Wieczory wołyńskie”, Białe Dunajec-Ostróg 2015, s. 28-31.]

Książkę można zamawiać pod adresami:

ks. Witold-Yosif Kovaliv
Ośrodek „Wołanie z Wołynia”
skr. poczt. 9, 34-520 Poronin, Polska
lub

о. Вітольд-Йосиф Ковалів
вул. Кардашевича, 1
35800 м. Остріг, Рівненська обл.,
Україна

lub

vykovaliv@gmail.com

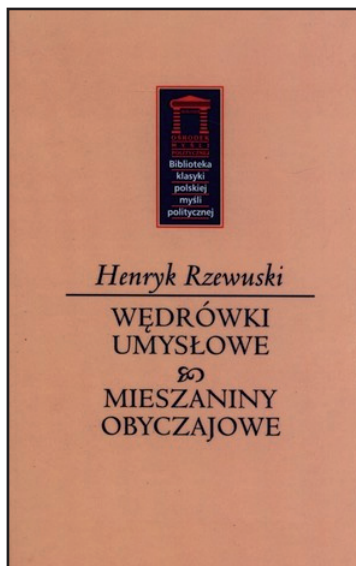


Papisali do nas - Написали до нас

MIESZANINY WOŁYŃSKIE

W tym roku minie 90. rocznica ustanowienia Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Uroczystość odsłonięcia miała miejsce w dzień Zaduszny 1925 roku. Autorem projektu był wybitny rzeźbiarz Stanisław Ostrowski (1879-1947). Pomnik umieszczono pośrodku kolumnady łączącej oba skrzydła pałacu saskiego. Niemcy pod koniec 1944 wysadzili Pałac, pod którym pozostał Grób przysypały gruzem. Władze powojenne uporządkowały miejsce i 8 maja 1946 udostępniły monument publiczności. Zmieniono przy tym niektóre symbole, wprowadzono nowe nazwy bitew, usunięto tablice odnoszące się do lat 1914-1920. Wraz z nimi przepadły te wspominające wydarzenia na Wołyniu – Kostiuchnówka i Dytiatyn. Po 1989 wrócono do dawnych bitew i dodano wcześniej pominięte z okresu II wojny światowej.

Czytając różne teksty na temat Grobu przypomniałem sobie początek moich zajęć po studiach. W 1958 zostałem zatrudniony w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego w Warszawie, powołanym do życia w 1950. Poznałem tam córkę S. Ostrowskiego Halinę Grabską (1902-1990), z którą przez szereg lat dzieliłem pokój. Niezwykle miła i dobra. Wykształcona w Akademii Sztuk Pięknych, tłumaczka literatury francuskiej, m.in. Mauriaca. Pamiętam też, jak opowiadała mi o pracy nad przekładem książki Vallentin o Picassie, opublikowanej w 1959. O swoim życiu w kręgu rodziny, tak bardzo związanej ze sztuką i literaturą a też służbą dla Polski, opowiedziała pięknie w książce pt. „*Bric à brac 1848-1939*” (1978). Dedykowała ją mężowi Zdzisławowi, synowi Władysława Grabskiego,



uczzonego, premiera I autora reformy walmutowej. Nb. szwagrem jej dziadka Kazimierza Ostrowskiego, również rzeźbiarza, był Władysław Belza, wielki społecznik, publicysta i poeta, autor powszechnie nienigdy znanego wiersza zaczynającego się od słów „*Kto ty jesteś?*” (Katechizm polskiego dziecka). Jeden rozdział poświęciła pracy ojca nad Grobem, pomaganiu mu z zbieraniem dokumentacji, a na koniec w nanoszeniu nagle poprawionego napisu na projekt głównej tablicy (skala 1:1), której autorem był Ludwik Gardowski z ASP. Napis brzmi: „*Tu leży Żołnierz Polski poległy za Ojczyznę*”.

Grabska kierowała wzorcownią, która gromadziła przykłady sztuki ludowej oraz sposobów jej wykorzystania przez artystów. Instytut, według założycielki Wandy Telakowskiej, również kobiety niezwykle, trzymał się zasady – „*dobre wzo-*

ry są również wartością kulturową”. Idąc za tradycją sięgającą końca XIX wieku, wg której wytwórczość przemysłowa nie miała tracić wartości estetycznych, które początkowo widziano prawie wyłącznie w rękodziele. Nie stanowiło to wówczas wykładni marksizmu, który nie mogąc zgrać twórczych rozwiązań z produkcją masową, nie tylko zresztą w tej dziedzinie, stwarzał ich wyznawcom różne trudności. Ubolewała nad tym Telakowska.

Kostiuchnówka. Miejsce ważnej bitwy I Brygady pod dowództwem Józefa Piłsudskiego na Wołyniu (4-6 czerwca 1916). Brał w niej udział Franciszek Strynkiewicz (1893-1996), później znany rzeźbiarz, profesor ASP w Warszawie. Pod koniec jego długiego życia miałem szczęście nawiązać z nim kontakty serdeczne. Opowiadał mi, że w bitwie tej walczył również Józef Beck, który potem, jako minister spraw zagranicznych, zlecił mu wykonanie popiersi Piłsudskiego dla polskich ambasad. Po wojnie był Strynkiewicz m.in. współautorem pomnika ofiar obozu zagłady w Treblince (1964), dwukrotnie rektorem warszawskiej Akademii, która w stulecie urodzin nadała mu tytuł honorowego rektora. Teraz, kiedy wracam z Biblioteki Narodowej, patrzę na gmach Urzędu Patentowego po drugiej stronie ulicy, gdzie w portyku nadal widnieje jego piękna Kariatyda (1938).

* * *

Tytuł pozwoliłem sobie wziąć od „*Mieszanin obyczajowych*” (1841) znanej niegdyś książki Henryka Rzewuskiego (1791-1866). Nie dlatego, że odpowiada mi ideowym przesłaniem. Ale zaskakuje swobodną narracją, przeplata wydarzenia i charakterystyki osób, upadki i sukcesy. Styl przy tym świetnie radzi sobie z różnorodnością relacji. W sumie bliski współczesnym upodobaniom czytelniczym. Pa-

miętać trzeba, że to książka wydobywająca ujemne cechy Polaków, które doprowadziły do upadku Rzeczypospolitej, nieodwracalnego, jak sądziło wielu, powołując się na przykłady z historii. Według Rzewuskiego jej odrodzenie mogłoby nastąpić tylko w związku z Rosją, z jej kulturą i literaturą. Pogląd ten wzbudził ogromny sprzeciw na Wołyniu, skąd pochodził sam autor, urodzony w Sławucie, dziedzic majątku po ojcu. Sprzeciw ten jest i dziś żywy, Zofia Lewinówna w posłowniu do świetnie opracowanych „*Pamiętek Soplicy*” (1978) pisze, że „*Mieszaniny*” były „*kuriozalne w swym wstecznictwie i zaprzaństwie narodowym*”. Opinia tej budzącej szacunek redaktorki Państwowego Instytutu Wydawniczego i Państwowego Wydawnictwa Naukowego, współautorki z W. Bartoszewskim znanej książki „*Ten jest z ojczyzny mojej*” (1967), jest godna uwagi.

Rzewuski był świadom reakcji na swoje dzieło, wydane w Wilnie u pochodzącego z warszawskiej rodziny wydawców i księgarzy Teofila Glückberga, który od 1818 do 1828 prowadził również księgarnię nakładczą w Krzemieńcu. W jej lokalu profesorowie Liceum toczyli swoje dyskusje naukowe. „*Mieszaniny*” otwiera „*Scena z księgarni Glücksbberga mogąca służyć za przemowę*”, w której jeden z ichmościów nazywa je paszkwilem, „*w którym wiele złości, mało dowcipu*”, drugi zaś temu się przeczy.

Poruszenie jakie wywołała ta książka było szczególnie ciekawe na Wołyniu, który w połowie wieku był ważnym ośrodkiem intelektualnym. W tym czasie również w samej Rosji rodzi się historia jej filozofii w postaci słowianofilstwa, do którego mogłaby ideowo zbliżyć się też książka Rzewuskiego. Jednak przecież tylko do pewnych granic, bowiem widziała je w ortodoksyjnie ujętej jedności ludzkich zachowań w związku z naturą i pań-

stwem. Iwan Kiriejewski był wyrazicielem ukrytej istoty ducha rosyjskiego, który – według Mikołaja Łossowskiego – dążył do „całościowego bytu wewnętrznego i zewnętrznego, społecznego i jednostkowego, kontemplacyjnego i życiowego, estetycznego i moralnego” (zob. *„Historia filozofii rosyjskiej”*, tł. 2000). Konstanty Aksakow zachodnią kulturę, w tym katolicyzm i protestantyzm, widział w barwach złych, dlatego też odrzucał możliwość obecności Polaków i Czechów w kręgu słowianofilów. Zresztą także Mikołaj Grabowski (1804-1863), urodzony również na Wołyniu, najwybitniejszy obok Mochackiego krytyk literacki, zaprzyjaźniony z Rzewuskim, mimo zgłoszenia politycznego akcesu do Rosji, nie wyobrażał sobie Polaków bez katolicyzmu.

Aksakow był synem pisarza Sergieja, który w 1843 nabył majątek Abramcewo, czyniąc zeń miejsce spotkań czołowych ludzi pióra. Dopiero jednak od 1870, odkąd właścicielem został Saawa Mamontow, stało się Abramcewo niezwykle kolonią artystów wszelkich rodzajów sztuki, dla których wzniesiono budynki w stylu staroruskim, zgodnie z romantycznym upodobaniem do ludowości i prawosławia. Warto pamiętać, że kilkanaście kilometrów dalej mieścił się Sergiejewskij Posad, miejsce spoczynku św. Sergiusza, który błogosławił wojska moskiewskie do zwycięskiej bitwy na Kulikowym Polu (1380). O. Paweł Florenski uważał, że tam „nastąpiło ukształtowanie się na Rusi narodu jako formacji historycznej” (*„Ławra Troicko-sergiejewska i Rosja”*, 1919). Rodzina carska odbywała do „świętego grobu Patrona, Budowniczego i Anioła Rosji” coroczne pielgrzymki. Z natchnienia Ławry – uważał Florenski – powstała w Abramcewie nowa sztuka, a ona sama stanie się Atenami rosyjskimi i żywym muzeum Rosji.

Zwiedzając Abramcewo natrafiłem na ławę wykonaną z barwnej majoliki przez Michaiła Wrubla, znakomitego malarza i rzeźbiarza, fascynującego symbolizmem przedstawień. Umieszczona na niewielkim wzniesieniu pozwala ogarnąć wzrokiem piękno krajobrazu, a zarazem stanowi metaforę twórcy, który tronuje w miejsce władcy tak, jak pierwszy uczynił to w sztuce Houdon w całopostaciowym portrecie filozofa – Woltera (1781).

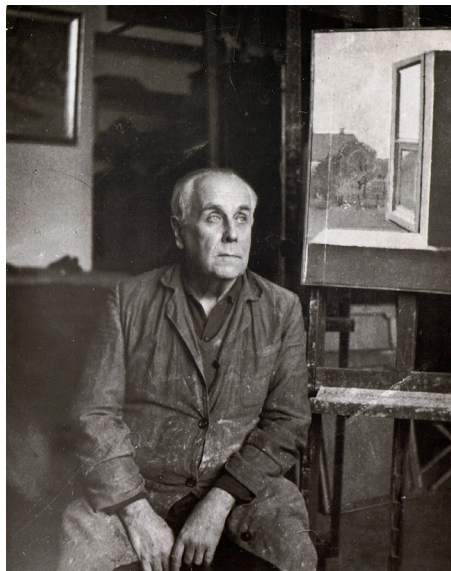
* * *

Na początku 1957 do pracowni malarki Michaliny Krzyżanowskiej przy ul. Koszykowej w Warszawie wprowadził się Henryk Józewski (1892-1981). Niedawno właśnie wyszedł z więzienia, na które skazano go za działalność konspiracyjną w latach 1939-1953. Od I wojny związany z ruchem orientującym się na osobę Józefa Piłsudskiego (POW), urodzony w Kijowie, był wrażliwy również na dążenia niepodległościowe Ukraińców, wspomagając je tak, jak mógł. Kiedy w 1928 objął urząd wojewody wołyńskiego szukał sposobów zarządzania uwzględniających dążenia mieszkańców, zwłaszcza Ukraińców, bo Polaków ilościowo było wówczas tam niewiele. W 1938 na krótko, do wybuchu wojny, został wojewodą łódzkim, zachowując w działaniu zasady sprawiedliwości i rozsądku. W maju 1939 zmarła jego ukochana żona Julia, utalentowana malarka. Jej rysunek ołówkiem, przedstawiający z prostotą i czułością wejście do wiejskiego kościoła, trzymał do końca nad łóżkiem.

W szkicu Piotra Mitznera o Józewskim (zob. *„Gabinet cieni”*, 2007) cytowany jest fragment dzienników zaprzyjaźnionej z Józewskim Marii Dąbrowskiej, gdzie pisze w 1952 r., kiedy ten się nadal ukrywał: „Jestem wprost wstrząśnięta siłą duchową i nerwową tego człowieka, że może

znosić w terażniejszych warunkach takie utajone życie”. Książka Mitznera ukazała się kilka lat po poświęconej Józewskiemu wystawie monograficznej w Muzeum Niepodległości (2002), która została bardzo starannie przygotowana przez Halinę Wiórkiewicz. We wstępie Jana Kęsika czytamy: „Henryka Józewskiego można z całą pewnością uważać za jednego z najbardziej zdecydowanych w walce o niepodległość Polaków XX wieku. Swoistym docenieniem jego zasług położonych dla sprawy niepodległości może być fakt, że w komunistycznej Polsce byłego wojewodę wołyńskiego sądzono nie tylko za działalność powojenną, ale za całość, poczynsz od 1905 roku”. Przed sądem odmówił pomocy adwokata i nie odpowiadał na pytania. Otrzymał dożywocie.

Wystawa w Muzeum Niepodległości przypomniła też inną dziedzinę aktywności Józewskiego, jego twórczość artystyczną. Nie przypadkowo też zjawiał się w pracowni Michaliny Krzyżanowskiej (1883-1962), pochodzącej z Peremyła nad Styrem, na Wołyniu, wdowy po wybitnym malarzu i pedagogu Konradzie. Była zdolną malarką, kształciła się m.in. w Paryżu, u Maurice’a Denis. Krzyżanowscy poznali się z Józewskim jeszcze w Kijowie. Ich dom warszawski był jeszcze przed I wojną żywym ośrodkiem sztuki. Krzyżanowski portretował m.in. Bronisławę Ostrowską (1881-1928), znaną poetkę i tłumaczkę wierszy francuskich, matkę wspomnianej Haliny Grabskiej. Michalina działała w konspiracji z Józewskim i także była więziona. Teraz pracownia na nowo skupiała zaprzyjaźnionych literatów, malarzy, uczonych (zob. też artykuł Z. i M. Chomiczów w „Stolicy”, 3/2014). Józewski, jak mówiono przed wojną – państwowiec, nigdy nie rezygnował z upodobań kulturalnych i artystycznych.



Józewski w pracowni na Koszykowej
Fot. Zbigniew Chomicz

Po śmierci Michaliny odziedziczył pracownię ze zbiorami obrazów i zajął się wyłącznie malowaniem.

Lija Skalska-Miecznik poświęciła w katalogu temu jego zamiłowaniu ważny tekst. Wśród przytoczonych tam niepublikowanych notatek Józewskiego czytamy: „Świat roślin, ileż słów, wzruszeń i przeżyć krąży wokół róży, towarzyszy jej, jest staniem się naszego świata wewnętrznego”. W „Autoportrecie” (1962) głowa delikatnie wtrąta w jasną szarość dzieli przestrzeń z płomiennie czerwoną różą. Róża, która według ikonografa rozświetla krótkotrwałym pięknem wiosnę, by z czasem stać się symbolem wieczności, w chrześcijaństwie symbolem męczeństwa. Dante w „Raju” („Boska komedia”) widzi ją jako koronę świętych. Być może Józewski zawarł w tym wizerunku swój akt wiary.

Bogusław Mansfeld



Historia - Історія

WERESZCZYŃSKI O ODBUDOWIE KIJOWA

Z projektem kolonizacji [1] niezaludnionych a niezmiernie urodzajnych przestrzeni na południu Rzeczypospolitej przez przeniesienie tan bezrolnej lub małorolnej szlachty z rdzennej Polski wiąże się inny projekt biskupa Wereszczyńskiego, mianowicie projekt odbudowy zniszczonego Kijowa [2].

O ile proponowana w poprzednim piśmie ustawa miała poorać, całą Ukrainę wszędy i wzdłuż pługiem polskim, pobudować dworki i dwory szlacheckie, otoczone strzechami chat wioskowych, o tyle pismo drugie dąży do podniesienia, budowania i zaludnienia miast, miasteczek, a wobec nieszczęsnego położenia Ukrainy w sąsiedztwie dzikich hord barbarzyńskich, do zapewnienia im obrony i bezpieczeństwa. Sposoby, które wskazuje Wereszczyński w obydwóch pismach do osiągnięcia zamierzonych celów, są niemal identyczne. I tu i tam ujawnia się ta sama niezdrowa atmosfera, w której żył nasz dzielny biskup, ta sama niechęć szlachty do ponoszenia jakichkolwiek ciężarów, ten straszliwy egoizm, przeraźliwe krótkowidztwo, o które rozbijać się musiały wszelkie najędrsze, najlepsze zabiegi dzielnych i głębiej umięających pa-trzyć w przyszłość ludzi.

Włożywszy w »*pactach conventach*« na króla obowiązek wybudowania pięciu zamków na Ukrainie, szlachta umiała tylko na sejmach o spełnienie przyrzeczeń się upominać, król zaś Zygmunt III tłumaczy się, że szczupłymi dochodami swojego skarbu podołać takiemu zadaniu nie może i dlatego należałoby albo kwartę ze starostw powiększyć, albo inne obmy-



Kijów - Padół, cerkiew prawosławna pw. Piotra i Pawła, do 1742 r. rzymskokatolicka katedra pw. Św. Zofii przy ulicy Florowskiej na Podolu (po lewej stronie, stan z roku 1890), w tle Stare Miasto na Wzgórzu Zamkowym z cerkwią pw. św. Andrzeja

Fot. Wikimedia Commons

śleć środki, czyli innemi słowy uchwalić pobór podatków. Wytwarzała się więc sytuacja bez wyjścia. Sejm zwał obowiązek obrony granic na króla, król zaś na naród. Ostatecznie sejm się rozchodził, nie uchwalwszy nic, jedynie tylko najbardziej zainteresowane województwa i powiaty ruskie były skłonniejsze zezwolić na podatki [3]. Znowu więc w tem piśmie musi Wereszczyński zapewnić, że sposób, który podaje dla ratowania całości i bezpieczeństwa Rzeczypospolitej »*Jego K. M. i Rzeczypospolitej nie będzie kosztowało na to i grosza jednego, ale i owszem z przymnożeniem kwarty, więcej niż na tysiąc złotych, która przychodzić będzie z starostwa kijowskiego zawczasu na każdy rok do Rawy*«. Nie chce więc projektodawca szturmować do worków szlache-

kich, gdyż wie, że temniej odgłosu znalazłoby jego wołanie, owszem ściągnęłoby tylko nań oburzenie.

W obydwóch pismach ujawnia się energia niepospolita dzielnego senatora i skrajny jego radykalizm, mało liczący się z nietykalnością osobistą obywateli, poświęcający ją chętnie dla osiągnięcia dobra publicznego. Projekt Wereszczyńskiego odnosi się przede wszystkim do prastarej stolicy Rusi, jednego z najdawniejszych grodów słowiańskich – Kijowa. Choć sam gorliwy senator Rzeczypospolitej i gorący patrjota, ale Rusin z krwi i kości, który przyszłość i pomyślność Rusi jedynie tylko w unji z potężną Polską widział, Wereszczyński bolał niezmiernie nad nędzą i upadkiem prześwietnego niegdyś miasta, będącego zarazem stolicą jego diecezji. Kwitnący bogactwem, przechodzący niegdyś świetnością wszystkie miasta północy, na drodze handlowej zachodu ze wschodem położony, niejednokrotnie potem gromiony to przez Tatarów, to przez walczących między sobą i współzawodniczących kniaziów ruskich, podupadł okropnie i za czasów Wereszczyńskiego leżał niemal w gruzach, co było powodem serdecznego bólu i skargi żalostnej naszego autora. Sam Rusin z pochodzenia i biskup kijowski, do łez rozrzewnia opisem rozpadającej się w ruiny prastarej stolicy Rusi. Pięćset kościołów a właściwie cerkwi »wielkim kosztem murywanych« miał w sobie Kijów, pisze Wereszczyński, a dziś ruiny tylko z nich poświadczają, a niektórych ledwie znaki tylko są, ale »nad te wszystkie kościoły, Kijów w zamku swym stołecznym ma osobliwy kościół grecki, nazwany z grecka *Sophiae t. j. mądrości Pańskiej dedykowany*. Który to kościół kosztem nader wielkim i nieoszacowanym był zmurowany«. Ten wspaniały przybytek Pański przewyższający ogromem, według słów Wereszczyńskiego, kościoły krakowskie, a pięk-



Brama Lacka w Kijowie

Fot. Wikimedia Commons

nością równy konstantynopolskiemu, pod tern samem wezwaniem co tamten, dzisiaj »ach niestetyż, jest nietyło przez bydło, szkapy, psy a świni swemi bailogi sprofanowany, ale wspólek i z ozdoba kościelną niepomatu naruszony, która od dżdżów niszczeje przez złe pobicie, ale i na poły przez zły dozór mitropolitów kijowskich, a przez oziębłość panów greckich, temi czasysy poczał się najbardziej walić, któremu by jeszcze mógł się snadny ratunek dać, gdyby się chcieli panowie greckiej wiary z metropolitami swemi znowu P. Boga prawdziwie rozmiłować«.

Ciężki zarzut naszego biskupa co do obojętności »panów greckiej wiary« był zupełnie słuszny i stosował się prawdopodobnie do ks. Konstantego Ostrogskiego, wojewody kijowskiego, gorliwego wschodniej wiary wyznawcy, ale obojętnie patrzącego na obracającą się prawie w ruinę cerkiew katedralną Św. Zofii.

Zresztą ks. Ostrogski, który z był rzadko zaglądał do Kijowa, a wyręczał się zastępcą podwojewodzim, nie troszczył się również i o stan zamku kijowskiego. Zamek przez niedbalstwo namiestnika, a najbardziej samego księcia wojewody, znajdował się w jak najgorszym stanie [4]. »*Na koczowiska albo na legowiska niedźwiedzim, wilkom, bydłu, psom i sprośnym świniom*«, jak wyraża się Wereszczyński, obrócony został. Lustracja 1570 r. powiada, że miał on 7 baszt, horodzień 177, wszystko drewniane, oblepione gliną, ale po większej części gmachy w nim gniły i opadły. Stare miasto z dawien dawna stało puste i niezasiedlone. Na to zaniedbanie Kijowa skarżył się przyjaciel i współpracownik literacki Wereszczyńskiego [5] Sebastian Klono-wicz w »*Roxolanji*«:

*Stary Kijowie! starych kniaziów dworze!
Co masz pamiątek z upłynionej chwili!
Wieśniak je chyba na stepie wyorze,
Lub ktoś wykopie z gruzów i badyli!*

To zaniedbanie miasta, które powinno było stać na straży Rzeczypospolitej, było grzechem nie do przebaczenia pod względem strategicznym i miało zemścić się okrutnie na tych, którzy głosu Wereszczyńskiego nie słuchali. Kijowowi więc większą część pisma swego Wereszczyński poświęca, nad podniesieniem, zaludnieniem i ufortyfikowaniem jego się zastanawiając.

Kijów za czasów Wereszczyńskiego mieścił się u stóp dwóch gór, na których niegdyś wznosiły się dwa zamczyska. Te góry, według projektu Wereszczyńskiego, powinny być obrócone na osadę dwóch miast.

Na jednym z nich należy wybudować zamek królewski, na drugim zamek biskupi. Na budowę i obwarowanie zamków szlachta ani grosza płacić, ani żad-

nym ciężarów ponosić nie będzie. Mają to uczynić przyszli osiedleńcy dwóch miast, które powstaną naokoło zamków. Tych osiedleńców należy po pierwsze zwabić za pomocą przywilejów, po wtóre przesiedlić przymusowo, podobnie jak szlachtę ubogą w poprzednim projekcie, ze wszystkich miast i miasteczek Korony i Litwy. Przywileje Kijowowi pragnąłby nadać Wereszczyński bardzo obszerne. Przede wszystkim, by wielki Kijów mógł się swobodnie rozrastać, trzeba wywłaszczyć grunty, należące do duchowieństwa greckiego, a okalające i ocieśniające go pierścieniem; duchowieństwu greckiemu, by nie czuło się pokrzywdzonym wyznaczać puste miejsca, których niemało na Ukrainie. Nowym dwóm miastom należy nadać na podobieństwo starego Kijowa prawo magdeburskie, uwolnić je na wieczne czasy od wszelkich cel i myt, pozwolić na wolny szynk wszelkimi napojami, oraz wolny handel na każdym miejscu; uwolnić w ciągu trzydziestu lat od czołowego i wogóle od poboru wszelkiego, pozwolić na wieczne czasy na wolny połów ryb w Dnieprze, pod warunkiem składania co trzeciej ryby przez poddanych królewskich na zamek królewski, a przez biskupich na zamek biskupi, nadać prawo posiadania wolnych browarów, winnic, słodowni, jatek i t. d.; pozwolić mieć w każdym roku dwa wolne jarmarki po sześć tygodni: dwa tygodnie w starym dolnym Kijowie, dwa w nowym, górnym królewskim i dwa w górnym Kijowie biskupim, pozwolić mieć do odprawienia spraw miejskich swój osobny urząd miejski, według prawa magdeburskiego, od któregoby apelacja z dwóch miast królewskich, dolnego i górnego, szła wprost do króla, a z miasta biskupiego do biskupa Kijowskiego, jako do najwyższej sądowej instancji, dać prawo wyboru wójta z pośród siebie, zabezpieczyć mieszczan od nadużyć starosty Ki-

jowskiego, dając prawo zaskarżania takowych wprost przed majestat królewski, wreszcie uwolnić dwa nowo powstałe miasta od wszelkich czynszów na 13 lat. Wereszczyński pragnąłby potrójnemu miastu herb potrójny nadać. Stary Kijów dolny zamiast dotychczas używanego za herb: *»luku pogańskiego ze dwiema strzałami«* za wierność swoją dla króla i Rzeczypospolitej winien dostać w dowód lański szczególny herb nowy – berło królewskie, trzymane w gołej ręce, wyciągniętej z obłoków; nowy Kijów górny królewski powinien otrzymać za herb koronę królewską, również w gołej ręce, wyciągniętej z obłoków, trzymaną; wreszcie górnemu Kijowowi biskupiemu pragnąłby projektodawca nadać oprócz infuły biskupiej, jeszcze na wieczną swoją pamiątkę herb własny pod infułą, trzy wręby domu Wereszczyńskich. Jest w tern nieco próżności magnackiej, że pragnie nadać herb własny rodowy miastu, podniesionemu przez siebie; gdyby jednakże pomysł Wereszczyńskiego został wykonany, gdyby Kijów dzięki niemu nabrał dawnej świetności i potęgi rozrósł się do wielkiego miasta, to słusznie należałaby się ta nagroda jego dobrodziejowi.

Przywileje, któreby pragnął Wereszczyński uzyskać dla Kijowa, były istotnie znaczne, szczególnie uwolnienie niemal od wszystkich podatków, płaconych przez miasta do skarbu Rzeczypospolitej według uchwał sejmowych. Za te przywileje proponuje nasz projektodawca obłożyć mieszczan kijowskich tak oddawna osiadłych, jak i nowych przybyszów, obowiązkiem obwarowania i ufortyfikowania Kijowa; mają oni usypać wały ogromne, otoczyć miasto murami, pobudować baszty wielkie, budulca dostarczą im włościanie ze wsi królewskich województwa Kijowskiego. Kijowanie zaś i na przyszłość po wieczne czasy obowiązani w porządku te fortyfikacje utrzymywać, a nadto

zaopatrywać je działami, kulami i prochem, oraz w razie najścia nieprzyjaciela stawiać się gromadnie, i zbrojnie w obydwóch zamkach i pełnić obowiązki załogi fortecznej. Na pomoc zaś mają im spieszyć po trzech mieszczan i po trzech włościan z każdej wsi, należącej do duchowieństwa czy to katolickiego czy też greckiego, uzbrojeni w rusznice, proch i kule, gdy tylko wystrzał armatni na trwogę usłyszą, lub też bardziej oddaleni list biskupi w tej materji otrzymają. Nad wykonaniem tych obowiązków i tych porządków mają czuwać wierni i uczciwy starosta na zamku Królewskim i biskup Kijowski na zamku biskupim.

Tak Wereszczyński za jednym zamachem i miasto Kijów podnieść do wielkiego rozrostu i rozkwitu i potężną fortecę z niego uczynić zamierzał. Projekt w zasadzie był dobry. Kijów, pomieszczony na drodze handlowej między wschodem a zachodem, był zdolny do rozrostu, do którego doprowadziłyby go niechybnie nadanie obszernych przywilejów mieszczanom oraz zapewnienie bezpieczeństwa; równocześnie położony na krańcach Rzeczypospolitej, powinien być stać się potężną twierdzą; broniącą wstępu w jej granice szczególniejszemu wojskom cara Moskiewskiego. Lecz projekt ten posiadał i słabe strony, głównie pochodzące z chęci nieporuszenia skarbu, a co za tem idzie, kwestji podatkowej. Zamki budowane przez mieszczan kolonistów, których jeszcze niema, to sprawa bardzo daleka. Lata całe przejdą, nim ci mieszczaństwo przyszlizli się zgromadzą, pobudują domy i zagrody, osiedlą i zabiorą się do budowania zamków, a przez ten czas car moskiewski, który nie spuszczał z Ukrainy czujnego oka i wiedziałby dobrze jaką zaporą stałaby się dla niego potężna forteca Kijowska na Dnieprze, zdoła zgromadzić wojska, przygotować się należycie, znaleźć pretekst do wojny i popalić zagrody osad-

nikom Kijowskim, nim zdołają zabrać się do budowania zamków. – Należało więc zacząć od budowy zamków, na co uchwalić jak najszybciej podatek na sejmie, a potem dopiero naokoło zamków gromadzić kolonistów i włożyć na nich obowiązek naprawiania i w ogóle utrzymywania pod każdym względem fortyfikacji, inaczej zamki Wereszczyńskiego były prawdziwymi zamkami na lodzie.

Zawierał jeszcze inną słabą stronę projekt powyższy a mianowicie: ustanowienie w jednym mieście, w jednej właściwie twierdzy dwóch władz równoległych, starosty i biskupa, między którymi oczywiście bardzo szybko doszłoby do konfliktów podobnych jak między wielkimi mistrzami kawalerów mieczowych i biskupami ryskimi. Tej drugiej słabej strony, zdaje się, nie dostrzegał Wereszczyński, natomiast liczył się widocznie z pierwszą, jeżeli nie ograniczał się projektem nadania obszernych przywilejów miastu, co niechybnie samo przez się ściągałoby osadników, ale pragnąc przyspieszyć proces zamierzonej przez siebie kolonizacji, proponuje przymusowo przesiedlić do Kijowa ze wszystkich miast w całej Rzeczypospolitej, należących do króla i do duchowieństwa, po trzech mieszczan kupców, a gdyby w którymkolwiek mieście kupca nie było, to po trzech rzemieślników, a nawet choćby i po trzech jakichkolwiek mieszczan byle tylko majątnych, ab miał każdy z nich o czym do kijowskiej osady przyjechać, w czym chodzić i czym się po prusku budować.

Pomysł ten biskupa, w najwyższym stopniu radykalny, łamiący najelementarniejsze pojęcia o wolności i nietykalności osobistej, był nie do przyjęcia. Duchowieństwo polskie i ze względów osobistych i dla powodów natury humanitarnej nie zgodziłoby się na przeprowadzenie takiego drakońskiego prawa. Był to projekt

o wiele bezwzględniejszy od podanego w poprzednim piśmie a dotyczącego przesiedlenia szlachty polskiej i litewskiej na Ukrainę. Chodziło tam bowiem o szlachtę ubogą bezrolną, albo małorolną, która przynajmniej za gwałt jej zadany wynagrodzoną byłaby wielkimi obszarami ziemi, obfityjącami w dary przyrodzone, tymczasem tutaj mieszczan zamożnych, a więc których stan majątkowy, jest zupełnie znośny, wyrwać się ma z rodzinnego miasta i śłać na wschód na wygnanie, na niezmiernie ciężkie warunki, grożące utratą życia i mienia.

Wereszczyński stara się więc przekonać, że nie są to nowe rzeczy na świecie, *»jako u pogan, jako i między ludem bożym miejsca puste a pograniczne ludźmi dziecinymi a zwłaszcza poddanymi swymi przez cesarze, króle i Rzeczypospolite osadzać«*, i przytacza przykłady powstania Tyru, Sydonu, Kartaginy, Peneropolu itp.

Usiłuje również Wereszczyński uspokoić skrupuły majątkowe, pouczając swoich duchownych kolegów, że *»ta jest starszych wszystkich powinność, przykładem Pana Chrystusowym znosić niedostatki młodszych«*, i że jeżeli obowiązkiem duchowieństwa jest wykupywać brańców, to tem większy obowiązek ich wymaga by zapobiegali. przed braniem chrześcijan do niewoli, a właśnie nowy uzbrojony, ufortyfikowany Kijów zapobiegnie temu, *»aby więcej Moskwicin jako też i poganin Tatarzyn krwią chrześcijańską nie handlowali«*. Niestety mało który kapłan odznaczał się takim duchem poświęcenia, taką gorliwością chrześcijańską i patriotyczną jak Wereszczyński. Duchowieństwo to rekrutowało się z pośród egoistycznej szlachty ówczesnej, bardzo trudnej do ofiar i poświęceń. Niem mało wśród duchowieństwa ówczesnego było właśnie takich, którzy tylko dla kariery, dla dochodów, dla łatwiejszego i szybszego wynie-

sienia rodu swojego poświęciło się temu stanowi.

Wereszczyński marzył, że za jednym zamachem da się odbudować i inne miasta i miasteczka na Ukrainie tym właśnie sposobem i zaludnić kolonistami polskimi. Oto przepowiada, że jeżeli jego projekt przyjdzie do skutku, to z owych kolonistów mieszczan z całej Rzeczypospolitej osiągnie się tak pokaźny zastęp, że będzie można nimi nie tylko Kijów zaludnić, ale inne osady z nich na Ukrainie powtórzyć. Przedewszystkiem zaś pragnął odbudować miasto i zamek Wyszehorad, położony nad Dnieprem w trzech milach drogi od Kijowa, mający ważne strategiczne znaczenie, gdyż mógłby stać się potężną zaporą dla Moskwy »i nie mógłby do Kijowa żadną miarą Moskiewski z wojskiem swem przebyć, aźby musiał się drzewiej z Wyszehoredem o przepuszczenie certować, albo kontrowersować«. Nie tylko strategiczne cele ma na myśli senator, ale i kulturalne; ma on nadzieję, że koloniści przeniosą swą kulturę na Ukrainę, że »Rusacy Kijowscy przez Lachy zakwitną«.

Można krytykować pomysły Wereszczyńskiego w ich szczegółach, należy jednak podziwiać jego rzutkość, dzielność i energię, należy przyznać, gdyż to jasne obecnie, jak słońce, że kolonizowanie żywiołem polskim Ukrainy, budowanie na niej łańcucha zamków obronnych było kwestją życia lub śmierci Rzeczypospolitej.

Przypisy:

[1] Zob. „Przegląd Powszechny” maj-czerwiec 1921 r.

[2] Sposób osady nowego Kijowa i ochrony niegdy stolicy księstwa Kijowskiego od niebezpieczeństwa wszelkiego bez nakładu J. K. M. i kosztu koronnego; Ich M. panom posłany na sejmie krakow-

skim przyszłym podany. Przez ks Wereszczyńskiego z Wereszczyna z bożej łaski biskupa kijowskiego a opata Sieciechowskiego. W Krakowie, w drukarni Andrzeja Piotrkowczyka. Roku Pańskiego 1595.

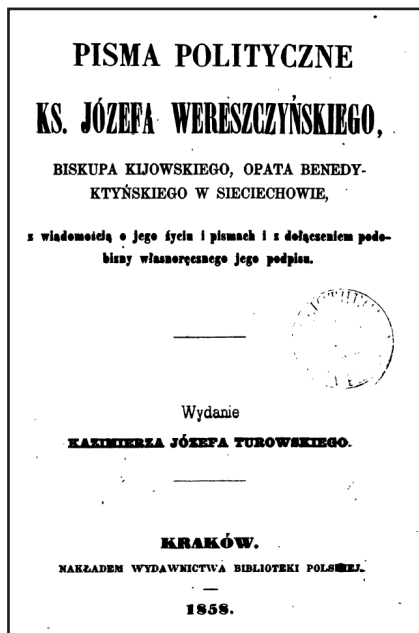
[3] Schmidt Henryk, „Rokosz Zebrzydowskiego”, Lwów 1858 str. 99, 119.

[4] Michał Baliński i Tymoteusz Lipiński, „Starożytna Polska pod względem historycznym, geograficznym i statystycznym”, Str. 545 -547.

[5] Hołowiński Ignacy, „Kazania J. Wereszczyńskiego”, Petersburg 1854. str II.

Edward Winkler

[„Przegląd Powszechny” t. 151-152, grudzień 1921, s. 414-421.]

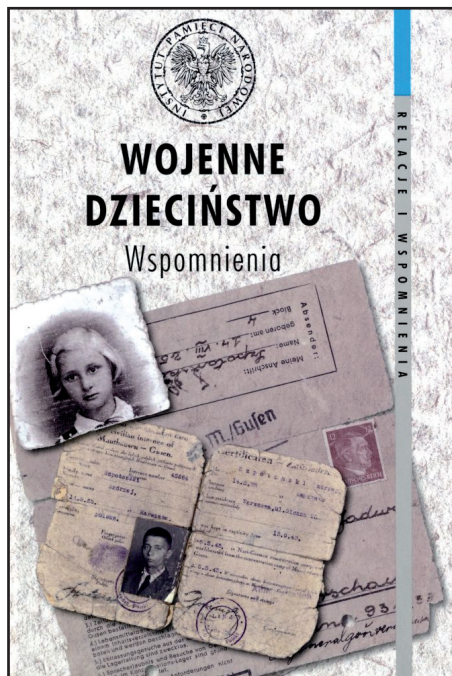


Rapisali do nas - Написали до нас

ATLANTYDA. NIE TYLKO KRESOWA

Bez historii nie ma Polski. Historii musimy ciągle się uczyć. Uczyc się sami, a przede wszystkim uczyć nasze dzieci, bo w szkole ten tak bardzo ważny dla zachowania naszej tożsamości narodowej przedmiot został przez Ministerstwo Oświaty bardzo ograniczony. Nie w każdej szkole jest nauczyciel z powołania, który potrafi „zarazić” młodzież miłością do historii. Na szczęście nie brakuje ludzi, którzy historię dobrze znają i umieją nią w różny sposób zainteresować.

Tę edukacyjną lukę wypełniają znakomicie między innymi stosunkowo krótkie, ale bardzo ciekawe i bogate treściowo wspomnienia siedmiu osób, które przeżyły drugą wojnę światową i bolesny szmat czasu po jej zakończeniu jako dzieci. Wspomnienia Janiny Boczek, Zdzisława Lesisza, Bogusławy Orzechowskiej, Ireny Pruskiej, Ireny Skalskiej, Andrzeja Szpotańskiego, Bogusławy Wojczakowskiej zostały zebrane w książce pt. *Wojenne dzieciństwo. „Wspomnienia”*, ze wstępem i w opracowaniu dr Elżbiety Orzechowskiej, z przedmową ks. prof. Zygmunta Zielińskiego. Każde wspomnienie mogłoby z powodzeniem posłużyć jako samodzielny materiał do scenariusza filmu o cierpieniu, bólu i strachu żyjących wtedy dzieci, o ich nadziei i radości. Dzięki wartkiej narracji czytelnik może bez trudu poznać, co w recenzowanej książce jest dla nas istotne i ciągle aktualne, a co ukazuje nasze słabości. Przede wszystkim jednak naszą siłę przetrwania. Wszystkie wspomnienia czyta się jednym tchem. Chciałoby się, by było ich więcej [1].



Pani doktor Elżbieta Orzechowska, inicjatorka i realizatorka projektu, była przez wiele lat nauczycielką historii w radoskich szkołach średnich. Poza pracą pedagogiczną – w ramach własnych badań naukowych – zainspirowała kilka osób do spisania wspomnień z dzieciństwa, które przypadło na okres drugiej wojny światowej. Niektóre wspomnienia udało się jej zdobyć w ostatnim momencie, niedługo przed śmiercią autorów, w tym swojej matki, Bogusławy Orzechowskiej, Janiny Boczek i Andrzeja Szpotańskiego. Zostały wprost wydarte zapomnieniu.

Doktor Orzechowska spisała wspomnienia bardzo profesjonalnie. Jej praca redaktorska zasługuje na najwyższe uznanie. Nie trzeba niczego doszukiwać, ponieważ aparat krytyczny, jakim opatrzyła poszczególne teksty, jest w pełni wyczerpujący, co podkreślił ks. prof. Zygmunt Zieliński autor błyskotliwej Przedmowy (s. 9-10). Przypisy przez nią zrobione są równie ważne jak główny tekst. Dla wielu czytelników, nie tylko młodych, to doskonałe źródło informacji o odległych czasach. Umożliwiają one poznanie osób i spraw występujących w głównym tekście. Dzięki erudytyjnym przypisom czytelnik dowie się, kim były osoby wymieniane przez autorów wspomnień, gdzie znajdowały się miejsca, o których one wspominały, co oznaczały używane przez nie nazwy, terminy, określenia. Można oczywiście czytać wspomnienia bez przypisów, ale jeśli ktoś chce poszerzyć swoją wiedzę o drugiej wojnie światowej i o latach powojennych, powinien wszystko mieć wyłożone jasno i precyzyjnie. Tak jest to zrobione w omawianej pracy.

Redaktorka książki zadbała o to, by autorzy tekstów odnotowali wszystkie nazwiska tych, którzy zginęli, i tych, którym cudem udało się ocaleć. Praca zawiera wiele cennych fotografii z epoki, czasem wzruszających, a czasem przerażających. Jak wojna i losy ludzi.

Opublikowane wspomnienia są wyjątkowe, bo ukazują losy dzieci, które musiały szybko stać się dorosłe, gdyż wojna wyniszczyła ich rodziców. One przeciwnie, z każdym rokiem dorastały, krzepły, stawały się nierzadko rzeczywistą głową rodziny.

Teksty czyta się jak niezwykłą powieść, nieraz przygodową, wręcz kryminalną, napisaną barwnym językiem, pełną nieoczekiwanych zmian akcji i krajo-
brazów, od wołyńskich równin, do niezna-

nej im ziemi radomskiej i kieleckiej, gdzie przyszło żyć młodym bohaterom.

W takich warunkach i w tak prostej, naturalnej narracji tragiczne dzieje ludzkie robią tym większe wrażenie. Głód, skrajna bieda, wszechobecna podejrzliwość, permanentny strach towarzyszyły długi czas autorom, a zarazem autentycznym bohaterom książki. Mimo brutalności losu swoje wojenne dzieciństwo zapisali w pamięci jakby gdzieś na marginesie. Ale na współczesnym czytelniku robią duże wrażenie, bo skala psychicznego i fizycznego totalitarnego terroru tamtych lat, niemieckiego i sowieckiego, była wprost niewyobrażalna (zob. „*Wstęp*” Elżbiety Orzechowskiej, s. 11-20). Wyczuwa się go wszędzie: w wioskach i w miastach, w drodze, podczas ucieczki, w niemieckich obozach koncentracyjnych na Majdanku, Auschwitz, Mauthausen-Gusen. Był on obecny wśród wrogów, a nawet dawnych przyjaciół. Hitler i Stalin tylko trącili domino. Reszta tkwiła w ludziach. Autorzy wspomnień – mimo młodego wieku – doskonale zdawali sobie z tego sprawę, sami boleśnie doznawali skutków wojny.

Swoje wspomnienia spisali kilkadziesiąt lat później, więc mogło im coś umknąć, coś w pamięci zostało trochę zmienione lub zapisało się w cieplejszych barwach. Jeśli nawet niektóre partie wspomnień mogą być traktowane ostrożnie jako źródło historyczne, to nic nie ujmie im walorów edukacyjnych, a nawet literackich.

Wprawdzie książka dotyczy okresu już dość odległego, pobudza także do refleksji nad dniem dzisiejszym. Jej lektura uporczywie budzi zasadnicze pytanie, czy na pewno tamte czasy minęły bezpowrotnie.

Na szczególną uwagę zasługują wspomnienia wołyńskie czterech osób, wśród nich Bogusławy Orzechowskiej. Dobrze,

że opublikowano je właśnie teraz, kiedy nasi wschodni sąsiedzi robią tak wiele, by tragedię wołyńską z lat 1943-1945 zatrzeć w ludzkiej pamięci i na kartach historii.

Przed kataklizmem Polaków na Rusi ostrzegał już wcześniej abp lwowski Józef Bilczewski w swym liście pasterskim z 2 lutego 1906 roku.

„Lud ruski rozumie, że w dniu, w którym Polacy stąd musieliby się wynieść, powstałby taki płacz i lament, jakiego nawet w czasie najstraszniejszych wojen tatarskich na Rusi nie było i który można by chyba porównać do owych jęków, jakie powstaną w dzień Sądu Ostatecznego, kiedy Bóg rozdzieli męża od żony, dzieci od rodziców, i jednych przeznaczy do nieba, drugich na potępienie” [2].

Wiele z tego, czego obawiał się święty arcybiskup, znajdujemy na kartach wspomnień opatrzonych wymownym tytułem, jakby to było wczoraj. Młoda kilkunastoletnia dziewczyna Bogusława Popławska była świadkiem tragicznej śmierci swej matki. Zastrzelił ją bandyta z UPA, gdy biegła, aby zbudzić ukrywającego się w stodole brata i syna (zob. s. 67-98).

Oprócz opisu przeżyć osobistych i ich warstwy literackiej wspomnienia są charakterystyką czasów drugiej wojny światowej i okresu PRL. Kiedy bierze się do ręki wspomnienie pisane przez dziecko, które przeżyło wojnę i jej straszne następstwa, myśli się nierzadko, że będą one może dziecięce. A tu po lekturze olśnienie! Okazuje się, że mamy do czynienia z autorami, którzy mimo młodego wieku odsłoniли nie tylko rzeczywisty obraz tragicznych lat okupacji niemieckiej i sowieckiej, ale także lat 40. i 50. ubiegłego stulecia, do tej pory okresu naszej historii stosunkowo słabo odczytanego, zwykle opisywanego schematycznie, powierzchownie. Pisarze, którzy tworzyli w tamtym okresie na zamówienia partii, albo go

przekłamywali, albo wiele przemilczali. Autorzy wspomnień dają obraz bez retuszu. Piszą prawdę wprost pasjonująco.

Oczywiście nie można oceniać przeszłości z perspektywy dzisiejszej wiedzy. W tym właśnie tkwi siła wszystkich wspomnień, bezpośrednich relacji, pamiętników. Tylko na ich podstawie można odtworzyć atmosferę przeszłości i zrozumieć mechanizmy ówczesnych działań. Autorom recenzowanych tu tekstów doskonale udało się opowiedzieć o psychice ludzi żyjących podczas wojny, głównie dzieci. Potrafili wytłumaczyć ich zachowania, które dziś może wydają się nam dziwne, niecodzienne, okrutne, czasami może niezrozumiałe.

Dobrze się stało, że dr Elżbieta Orzechowska zebrała wspomnienia i opatrzyła je bardzo bogatym krytycznym aparatem naukowym. Miał rację poeta Andrzej Szmidt (1933-2006), gdy 10 września 1991 r. w swym wierszu pt. Adieu napisał: *„Jeszcze parę lat, a nie będzie nas pokolenia z wojny i narodzin PRL-u, odejdziemy do lepszego świata. [...] Jeszcze parę lat, a nie będzie nas pokolenia z piekła [...] Wszystemu towarzyszyć będzie pośpiech i niesmak” [3].*

Wojenne dzieciństwo to doskonała książka pod wieloma względami: fakto-graficznym, warsztatowym i – co nie jest bez znaczenia – edytorskim.

Dzieło jest też hołdem złożonym matkom – zwłaszcza Bogusławie Orzechowskiej, urodzonej w Rudnikach w powiecie kowelskim – ich odwadze, mądrości, szlachetności, dumie. O ich niezłomnej postawie, o bohaterskich czynach nie przeczytamy w żadnym podręczniku historii. Tutaj mamy okazję dowiedzieć się o tym, jak ratowały swe dzieci przed szaleństwem wojny i walczyły o ocalenie ich od chorób, głodu, wywózki czy fizycznej zagłady. Być może najbardziej ważne są wspo-



**Dr Elżbieta Orzechowska i ks. prof.
Zygmunt Zieliński**

Fot. Rafał Celej

mnienia o tym, jak broniły je przed śmiercią duchową, jak walczyły o to, by nie straciły nadziei, aspiracji, wiary.

Tę merytorycznie bardzo wartościową książkę, a przy tym piękną, wzruszającą, napisaną z pełną prostotą szlachetnością, czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem i z podziwem dla siły wewnętrznej opisywanych w niej ludzi, ludzi niby zwyczajnych, a przecież niezwykłych. Są to opowieści o czasach minionych, ale nie straconych. Snują się one cicho i spokojnie, choć dotyczą spraw życia i śmierci. Zapadają głęboko w duszę i pamięć czytelnika. Ich wspólny mianownik to głośne wołanie: Nigdy więcej wojny!

Jeszcze jedno ważne dopowiedzenie. Niejeden czytelnik recenzowanej tu książki pomyśli z pewnością tak: Czytam te czasami bardzo proste wspomnienia. Dla mnie są wyjątkowe, bo czytając je, myślę o pięknej, polskiej Kresowej Itace, która była kolebką naszych rodziców. Wcale nie mam zamiaru palić, mścić się i niszczyć. Chcę tylko zrozumieć, zapamiętać i opowiedzieć o tym następnym pokoleniom.

Tak się odtwarza korzenie. Tak odrastają młode, zdrowe pędy.

Ks. Edward Walewander

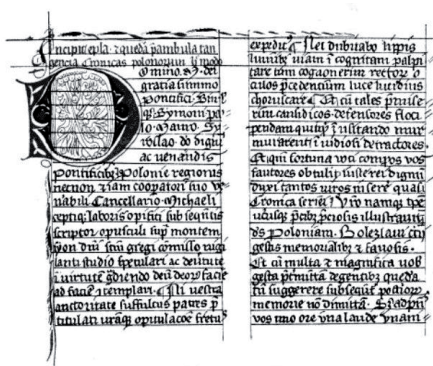
Przypisy:

[1] Na szczęście literatura wspomnieniowa raz po raz odnotowuje sukcesy. Zob. np. wspomnienia, które zebrała Julia Rodzik w książce pod swoją redakcją pt. *„Wojenne losy Dzieci Zamojszczyzny”*, Zamość 2007.

[2] J. Bilczewski, *„Listy pasterskie, odezwy, kazania i mowy okolicznościowe”*, t. I, red. B. Poźniakowa i M. Bieracka, Lwów-Kraków 2005, s. 243.

[3] A. Szmidt, *„Taki pejzaż”*, wybrał i wstępem poprzedził B. Królikowski, Lublin 2013, s. 75.

„Wojenne dzieciństwo. Wspomnienia”, wstęp i opracowanie Elżbieta Orzechowska, przedmowa ks. Zygmunta Zielińskiego, Wyd. Instytutu Pamięci Narodowej, Lublin 2014, ss. 218, indeks nazwisk i indeks miejscowości.



**Rękopis Kroniki Galla Anonima
w rękopisie Zamoyskich**

Domena publiczna



У нас на Полісї - У нас на Полісї

KOZŁY – POLESKA
ROZŚPIEWANA WIEŚ

Kozły – wieś na poleskich bagnach, z daleka od ludzi i wielkich traktów, jakby schowana przez Boga przed światem. Pachnąca żurawinami i kaliną. Pełna krzyku żurawi o świcie, świstu dzikich kaczek frunących na sady. Z Świętym jeziorem – gdzie miejscowi Poleszacy wspominają – tutaj za Polski były kładki pokładzone, na ostrowach wypoczywali ludzie i podziwiali piękno Polesia. I te święte krzyże stojące w wodzie – też postavili niegdyś Polacy. I Pan tu mieszkał, Dobry Pan – ludziom pomagał. A naszych chłopców jak brali w „saldaty” to do samej Warszawy. Nawet do dzisiaj pieśni rekrucie w Kozłach, śpiewają stare Poleszuczki.

W Kozłach śpiewają kobiety starym kanonem, wywodząc i pohukując po polesku, jakby to był środek XIX w. Stare pieśni miłosne, żartobliwe i proste, jak mówią po swojemu. A nawet te proste, są niezwykle trudne melodyjnie, gdyby sprawne ucho słuchającego, wychwytyjąc stare dźwięki, chciało je przenieść na usta młodego, współczesnego etnografa i wyśpiewać. Stąd – proste, wcale nie jest proste. Pieśni z bagien, takie są i mają ten urok, że trudno je naśladować i nucić sobie. Trzeba do nich mieć dusze, bo dusza są śpiewane, wywodzone, zadziwiające i archaiczne słowa tych pieśni. Ot, choćby o żurawkach, które na bagnach się legną, chowają i krzyczą rankiem wokół Kozłów.

*Oj żurawku, żurawiu
Czom ty kryczysz z poranku.
Jaż ny kreczu, toj hukam
Żebyj sokił, ni lital.*

W lamentującym głosie starych Poleszuczek, jest cała barwa cichego Polesia. Zdumiewające archaizmy, staroruskie i staropolskie, zakodowane na wieki w pieśniach. Najciekawsze i najstarsze pieśni z Kozłów, to pieśni obrzędowe. Szczególnie weselne, które tutaj rozśpiewują odwieczne, obrzędowe wesela w dawne misterium duchowe o niespożytej krasie. Korowaj pieczony przez korowajnice, wybrane zamężne kobiety z Rodu, najbogatsze, najuczciwsze, mające charyzmę duchową – schodzą się do domu panny młodej na kilka dni przed weselem – na korowaj. Ten bywa pieczony przez pół dnia i noc. Z siedmiu źródeł w nim woda na rozczyń, kopa jaj, masło majowe i pytłowa mąka.

*Myj na lawcy sili,
Czerez okienko patrzyli.
Czy ny przyjdu, dróžki prosyt
Korowaja rozczyynyt...*

I wszystkie obrzędy, po dawnemu wyśpiewywane przez korowajnice z taką swadą, że serce się kraje, na myśl o doli panny młodej. A wszystko w wielkiej pokorze i proszeniu Boga i świętych, o szczęście, dołą i dobry posag – na nowe życie. Po wyjęciu z pieca, witają korowaj, jak samego Kniazia wesela i szykują do komory. Śpiewają przy tym, że dwie par koni i woły, trzeba prządz do podwoły, żeby pyszny korowaj, zawieść do komory, żeby tam czekał wesela.

Życie Polesia, wyśpiewane w pieśniach, jest ciekawe i pełne uczuć, łez, cierpienia ale i butne, zrywne i dumne. W pieśniach, wszystkie powstania i wojny, pobory rekrutów – rozstania i powroty. Gody życia, rozśpiewane przez pokolenia. Ktoś duszą te pieśni składał, słowa dobierał, uczucia rozpieszczał i tak pozostało. To poświadcza, że Poleszuka dusza, poetyczna i romantyczna, zdolna do składania pieśni od wieków do dziś się nie zmieniła.

*Kalina, malina ni słodka, ni horka.
Oj tym zaplakala, soldacka ja žynka....
Oj byrut w saldaty, byrut do Warszawy
I biut w barabany.*

Już tylko pieśni pamiętają polski pobór do wojska, dawno odeszły pokolenia żołnierzy z tego poboru. To świadectwo na to, że pieśń dźwiga losy narodu. Pieśni z ludu są pamiętnikiem i zapisem życia, epok i czasu, który rozciągała niejedna mgła historii. Cudne pieśni z Polesia, którym nadziwić się nie mogę, gdyż przenoszą w błogość i dobroć, czasu, który już nigdy nie wróci. Ech Kozły, Kozły... cóż to za poleska wieś?

Krzysztof Koltun

Biskupi łuccy - Луцькі Єпископи

BOLESŁAW HIERONIM KŁOPOTOWSKI 1899 – 1901

Bolesław Hieronim Kłopotowski urodził się 13 marca 1848 w Hołowczyńce, rodzimym majątku pod Szarogrodem na Podolu. Po początkowych naukach domowych kształcił się w szkole powiatowej w Złotopolu, by wraz z rokiem 1862 zapisać się do II Gimnazjum Państwowego w Kijowie. Już jednak w r. 1865 przeniósł się stamtąd do Żytomierza (tu 25 lutego 1866 otrzymał sakrament bierzmowania), gdzie jako 17-letni młodzieniec wstąpił do miejscowego seminarium duchownego. Formację kapłańską odbywał tu przez cztery lata (1865-1869), przyjmując w tym okresie 11 marca 1867 tonsurę i święcenia niższe, a 15 marca 1869 subdiakoniat. Na dalsze studia wysłany został do Akademii Duchownej w Sankt Petersburgu, gdzie również kształcił się przez cztery lata (1869-1873) i w jej murach uzyskał na koniec stopień magistra teologii (19 stycznia 1874). W trakcie studiów, podczas wakacyjnego pobytu w r. 1872 w Żytomierzu, otrzymał tu 26 czerwca t.r. święcenia diakonatu, a 15 lipca t.r. – już w Sankt Petersburgu – wyświęcony został na kapłana.

Po powrocie ze stolicy Cesarstwa do macierzystej diecezji objął ks. Kłopotowski stanowisko wikariusza przy kościele seminaryjnym w Żytomierzu, jednakże w tymże jeszcze roku 1874 przyszło mu podjąć pracę dydaktyczną w tamtejszym seminarium. Wykładał w nim historię Kościoła i teologię moralną, a także język łaciński. Z kolei w r. 1876 doszła mu funkcja inspektora seminaryjnego, już jednak w rok później żytomierski instytut teologiczny został decyzją władz państwowych



Bp Bolesław Hieronim Kłopotowski
Fot. Wikimedia Commons

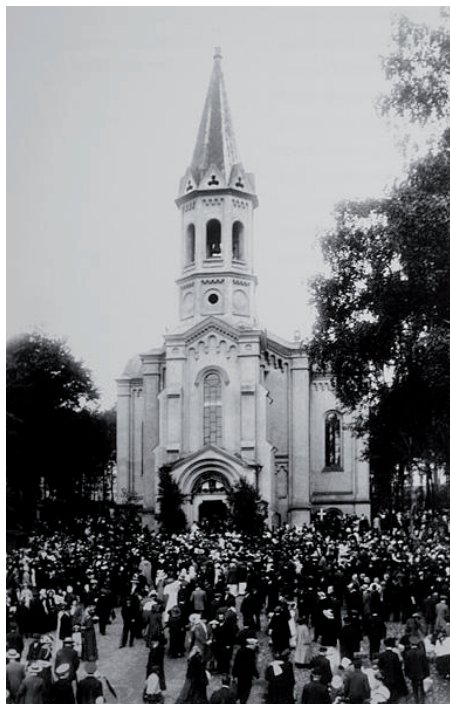
zamknięty (1877). Przeniósł się wówczas ks. Kłopotowski do Sankt Petersburga, gdzie z dniem 17 grudnia 1877 objął stanowisko profesora historii Kościoła i prawa kanonicznego w tamtejszej Akademii Duchownej, której mury ledwie kilka lat wcześniej opuścił. Pracować miał w niej przez następne dwadzieścia lat (do r. 1897), przechodząc przez kolejne szczeble uczelnianej hierarchii. Był więc w pierwszej kolejności prefektem alumnów, opiekunem biblioteki akademickiej, dalej ojcem duchownym i spowiednikiem, od 24 sierpnia 1884 inspektorem, by wraz z dniem 23 sierpnia 1897 objąć po wyniesionym miesiąc wcześniej na biskupstwo płockie Franciszku Albinie Symonie, dotychczasowym sufraganie mohylewskim, funkcję rektora Akademii Duchownej (formalnie z tytułem prorektora). Od r. 1385 był też kanonikiem gremialnym łucko-żytomierskiej kapituły katedralnej, gdy z ko-

lei na macierzystej uczelni uzyskał 2 (5) czerwca 1885 tytuł doktora prawa kanonicznego. Wśród współczesnych ks. Kłopotowski znany był też jako publicysta, zamieszczający artykuły w poczytnym „Przeglądzie Katolickim”, wydawanym w Warszawie, a także jako autor dwutomowego „*Compendium historiae Ecclesiasticae*”, tudzież współpracownik zainicjowanej przez biskupa Michała Nowodworskiego „*Encyklopedii kościelnej*”. Dzięki przychylnemu nastawieniu władz państwowych przyszły pasterz miał w tych latach możliwość kilkakrotnie wyjeżdżać zagranicę dla odwiedzenia zachodnioeuropejskich uczelni kościelnych. Przy tej okazji zawiązał także do Rzymu, gdzie dane mu było zawrzeć cenne znajomości w kręgach kurialnych.

Kiedy w r. 1897 dotychczasowy sufragan łucko-żytomierski, 76-letni Cyryl Lubowidzki, powołany został na ordynariusza połączonych unię diecezji, zaistniała konieczność ustanowienia dlań młodego wiekiem sufragana, który mógłby wyręczać sędziwego pasterza w czynnościach biskupich. Funkcję tę zdecydowano się powierzyć niespełna 50-letniemu Bolesławowi Hieronimowi Kłopotowskiemu, który też 2 sierpnia 1897 prekonizowany został przez papieża Leona XIII biskupem tytularnym Eleuteropolis i pomocniczym łucko-żytomierskim. Mimo tego wyniesienia pozostał on nadal zwierzchnikiem petersburskiej Akademii Duchownej. Sakra nominata odbyła się 21 listopada 1897 w kościele św. Katarzyny aleksandryjskiej w Sankt Petersburgu. Udzielił mu jej ordynariusz żmudzki Mieczysław Leonard Pallulon wspólnie z nowym biskupem sejneńskim Antonim Baranowskim i sufraganem warszawskim Kazimierzem Ruszkiewiczem. Obecni byli na tej uroczystości również złamany już wiekiem i chorobą metropolita mohylewski Szymon Mar-

cin Kozłowski i biskup nominat wileński Stefan Aleksander Zwierowicz (związany z diecezją łucką przez pochodzenie). Zaledwie w kilka miesięcy później, po rychłej śmierci biskupa Cyryla Lubowidzkiego, obrany został Bolesław Hieronim Kłopotowski dnia 14 czerwca 1898 wikariuszem kapitulnym wakujących diecezji. Wakat ów dobiegł kresu wraz z dniem 14 grudnia 1899, kiedy to nowym pastorem dla Łucka i Żytomierza, a zarazem administratorem apostolskim diecezji kamienieckiej, został właśnie biskup Kłopotowski. W tym charakterze rządy pasterskie objął na początku roku 1900, już jednak 26 kwietnia 1901 nastąpiła jego translacja na metropolitalną stolicę mohylewską. Zarząd archidiecezji objął on uroczystie 23 czerwca 1901, w którym to dniu został mu też nałożony paliusz w petersburskim kościele św. Katarzyny przez dotychczasowego sufragana mohylewskiego Karola Antoniego Niedziałkowskiego, dwa miesiące wcześniej prekonizowanego ordynariuszem łucko-żytomierskim.

Krótkie okazać się miały rządy Bolesława Hieronima Kłopotowskiego jako metropolity Kościoła katolickiego w imperium rosyjskim, a zarazem przewodniczącego Rzymskokatolickiego Kolegium Duchownego w Sankt Petersburgu. Jego zasługą było niemniej przywrócenie języka łacińskiego w miejsce rosyjskiego w nabożeństwach dodatkowych (co uczynił na polecenie kardynała sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej Mariana Rampolli del Tindaro), tudzież poobsadzanie wakujących parafii w diecezji mińskiej. Podjął on też wizytację rozległych ziem archidiecezji, najwięcej wszakże uwagi poświęcał petersburskiej Akademii Duchownej i seminarium metropolitalnemu. Jeszcze w r. 1901 dokonał przeniesienia doczesnych szczątków zmarłego w r. 1851 metropolity mohylewskiego Kazimierza Dmo-



**Kościół Nawiedzenia Świętej Elżbiety
przez Najświętszą Maryję Dziewicę
1913 r. na Cmentarzu Wyborskim**

Fot. <http://spb-mitrofan-society.org/>

chowskiego z prawosławnego Cmentarza Smoleńskiego na katolicki Cmentarz Wyborski w Sankt Petersburgu.

Zmarł Bolesław Hieronim Kłopotowski we wtorek 24 lutego 1903 około godziny 15.30 w swej petersburskiej rezydencji, po długich cierpieniach i nieudanej operacji. Przeżył jedynie 55 lat. Uroczystości pogrzebowe metropolity odbyły się w stolicy Cesarstwa w sobotę 28 lutego 1903. Sumę żałobną celebrował wówczas ordynariusz płocki Jerzy Józef Szembek (niebawem ustanowiony następcą zmarłego na arcybiskupstwie mohylewskim), a okolicznościowe kazanie wygłosił profesor Akademii Duchownej, kano-

nik Jan Cieplak – w przyszłości pierwszy arcybiskup metropolita wileński. Biskup Szembek poprowadził następnie kondukt na Cmentarz Wyborski, gdzie nad trumną przemówienie wygłosił kanonik Jan Ściśkowski. Zabalsamowane ciało zmarłego hierarchy złożone zostało w grobowcu przylegającym do tamtejszej świątyni cmentarnej, obok trumny wspomnianego metropolity Kazimierza Dmochowskiego. W cztery miesiące później zmarł w Kociużnach na Podolu w wieku 86 lat Jan Kłopotowski, ojciec arcybiskupa Bolesława Hieronima, którego syn uczynił na mocy swego rozporządzenia testamentarnego głównym spadkobiercą. Hojny zapis od metropolity otrzymało też seminarium duchowne w Sankt Petersburgu.

Krzysztof Rafał Prokop

[Krzysztof Rafał Prokop, „Sylwetki biskupów łuckich”, Biały Dunajec – Ostróg 2001, s. 189-191.]

